Nr. 115. Lwów — Sobota dnia 18 Maja. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Feliksa | Jowa mnoh.
Jutro: F. 5 po Wielk. | N. 5 po Woskr.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 24
Zachód „ „ 7 „ 30

Długość dnia g. 15 m. 6
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 17 maja.

Bez zwykłego hałasu rozpoczęła się we wtorek sesya parlamentarna we Francyi. Deputowani byli pod wrażeniem ostatniej mowy prezesa gabinetu Ribota, wygłoszonej na bankiecie wielkich kupców w Bordeaux. Rzeczywiście, ten minister przemawiał z taką pewnością siebie i siłą, iż opozycya radykalna, nie wiedząc co to znaczy i domyślając się, że między rządem a stronnictwami umiarkowanymi powstały jakieś układy, zachowywała się oględnie na nieznanym sobie gruncie. Ponieważ takie manewry są główną treścią parlamentarnego życia we Francyi, przeto bordeauski sukces Ribota wzmocnił stanowisko rządu i zapewnił mu spokojny przebieg sesyi. Ribot ostro zganił w tej mowie socyalistów i radykalistów, jako tych, którzy ciągle jeno narzekają, a dotąd nie zdołali przedstawić ani jednego praktycznego projektu, któryby usunął powód ich narzekań. „Jedynem ich zadaniem — rzekł minister — jest wciąż podtrzymywać niezadowolnienie wśród robotników fabrycznych i kopalnianych. Są oni pasożytami namiętności, podrażnionych zbyt nerwowem życiem. Gdyby nastało zupełne zadowolnienie, oni straciliby racyę bytu i źródło dochodów, więc wcale się nie mozolą nad opracowywaniem praktycznych projektów, wciąż jeno marzą o wielkich przeistoczeniach, o których wiedzą, że są niewykonalne. Całem ich zadaniem — rzucać pod nogi społeczeństwu kamienie, aby nie mogło uzdrowić tego, co naprawdę chore. Nie są tedy stronnictwem jakiejś reformy, lecz są prostą rewolucyjną gromadą, za taką powinni być uważani i traktowani odpowiednio“.

Tak jeszcze nie mówiono we Francyi. Więc kiedy w Bordeaux dowiedziano się, że Ribot tak mówił, zgromadziły się przed gmachem, w którym dawano bankiet, ogromne tłumy socyalistyczne i poczęły wyprawiać kocią muzykę, a potem kamieniami tłuc okna. Wystąpiła tedy policya, jednych wypłazowała, innych zamknęła do kozy, rozpędziła wszystkich z tą samą energią, z jaką mówił minister. Zatem po słowach wnet czyn nastąpił i to sprawiło we Francyi należyty efekt. Wróciwszy z Bordeaux do Paryża na otwarcie parlamentu, zastał Ribot deputowanych w usposobieniu nader łagodnem.

Lecz wróćmy do jego mowy. Najsłabszym jej punktem było wytłómaczenie akcyi przeciw Japonii. Wiadomo, że Francya nic na tej akcyi nie zyskała, usłużyła tylko Rosyi, ale nie obroniła ani swych kolonialnych, ani handlowych interesów. Usprawiedliwić się z tego przed kupcami było dosyć trudno. Więc Ribot z konieczności ograniczył się do frazesów. Oto dowodził, że Francya jest tak wielkiem mocarstwem, iż nie może dopuścić, aby cokolwiek działo się bez niej, rozumie się zaś samo przez się, że dziać się to musiało raczej gwoli Rosyi, niż gwoli Japonii, bo tak myśli każdy Francuz. Być może, iż on tak myśli, jednak Anglia także jest wielkiem mocarstwem, a przecież nie uważała, że wszystko koniecznie powinno dziać się z jej udziałem. Wszelako, zdaniem Ribota, jest pewien zysk z tej akcyi, bo „węzły, łączące Francyę z Rosyą, zacieśniły się i wzmocniły, w skutek czego cały świat pojął, że te dwa mocarstwa stanowią rękojmię pokoju i bezpieczeństwa“. To tylko frazes.

Potem Ribot, będący nietylko prezesem gabinetu, ale i ministrem finansów, oznajmił, że w bogatej Francyi pojawił się deficyt, co tem przykrzejsze, iż minister wojny żąda 10-milionowej nadwyżki, minister marynarki trzy milionowej, a potrzeba jeszcze uczynić coś dla rolnictwa i coś dla reform socyalnych. Rząd przygotował odpowiednie projekta. Deficyt ogółem wynosi 55 milionów franków, a zatem trzeba nowych źródeł dochodu. Znalazł je p. Ribot w nowym podatku spadkowym, który zapewne przyniesie 25 milionów, dalej w osobnym podatku za prawo trzymania domowych sług (lokai, pokojówek, kucharek, furmanów, etc.), wreszcie w opodatkowaniu zagranicznych papierów wartościowych i kart do grania. Te wszystkie podatki są demokratyczne, więc odpowiadają duchowi dzisiejszej Francyi, a zupełnie pokryją deficyt. Zatem wszystko w porządku i sesya zaczyna się pomyślnie.

Skandalami wojują z Crispim opozycyoniści włoscy i dotąd osiągają lepszy rezultat, niż konserwatyści, którzy pod dowództwem Rudiniego starają się przekonać naród o błędnej polityce rządu. Poważna krytyka stosunków ekonomicznych nie przekonywa ogółu, który nie lubi badać i głęboko się zastanawiać. On woli tanie błyskawice, jakiemi są skandale. Więc bohaterem dnia jest radykalista Cavallotti, który publicznie w liście otwartym, rozrzuconym po kraju, zarzuca Crispiemu aż trzy zbrodnie. Pierwszą jest szacherka finansowa ze znanym Korneliuszem Herzem, owym aferzystą paryskim, który wyzyskiwaniem zmusił Reinacha do samobójstwa, był ojcem francuskiej Panamy, a teraz wciąż umiera w Anglii, ale umrzeć nie może. Tej szacherki miał się dopuścić Crispi przed kilku laty, gdy przed Rudinim i Giolittim był szefem rządu. Już dawniej mówiono nieraz o tem, ale dowodów nie miano. Teraz Cavallotti wyraźnie nie określa nadużyć, głosi jeno, że była zbrodnia oszustwa i kradzieży i wzywa Crispiego, aby go powołał przed sąd, gdyż powiada, „albo ja jestem oszczercą, a w takim razie nie powinienem być deputowanym, albo Crispi jest nikczemnikiem, a więc nie może stać na czele rządu“. Crispi jednak dotychczas nie odpowiada na wezwanie Cavallotti'ego. Drugą jego zbrodnią są przekupstwa urzędników i różne intrygi, które knuł Crispi, aby obalić swego wroga Giolitti'ego, gdy on był szefem gabinetu. Ci przekupieni urzędnicy wprowadzali Giolitti'ego w błąd, wprowadzali go w zasadzki, dopuszczali się różnych matactw, aby jeno skompromitować szefa rządu. Wreszcie skarga wniesiona do sądu przez Crispiego na Giolitti'ego i odrzucona niedawno przez trybunał apelacyjny, poparta była zeznaniami przekupionych urzędników. Jeśli to wszystko prawda, to nieładnie wygląda Crispi, ale okropnie także biurokracya włoska. Wreszcie trzecia zbrodnia. Wydalono ze służby komisarza policyi, zatrudnionego w kolonii karnej Porto Ercole. Ów komisarz wręczył Cavallotti'emu dokumenta, świadczące o tem, że z nakazu Crispiego dręczono politycznych przestępców w Porto Ercole i torturami zmuszano ich do takich zeznań, jakich potrzebował Crispi, który potem, na podstawie tych zeznań, zapisanych do protokołu, odbywał rewizye, więził, nękał niewinnych ludzi, których całem nieszczęściem było to, iż byli politycznymi przeciwnikami Crispiego.

Zapisaliśmy te oskarżenia Cavallotti'ego, gdyż o nich pisze cała włoska i zagraniczna prasa, lecz wyznajemy, iż owe zarzuty są tak straszne, że wierzyć im trudno. Co najmniej, są bardzo przesadzone, albo generalizują jakieś wypadki rzeczywistego nadużycia zbyt gorliwych, lub płaszczących się urzędników. W każdym razie smutny widok przedstawia społeczeństwo, w którem kierownicy kraju mogą być narażeni na podobne zarzuty, a opozycya może używać takich środków walki. Jak tu nie zawołać z Heinem: Przedni są ci, i tamci, zaiste, są przedni, lecz przebacz nam Boże, żeśmy tak wybredni; co innego do gustu bardziej nam przypada: — smażone piskorze, to przysmak nielada!

W Berlinie co godzina, to inna pogłoska o nieuniknionych zmianach w sferach parlamentarnych i rządowych. Parlament byłby już zamknięty, ale cesarz nie chce pokazać, że się z nim liczy, może się gniewać na niego, albo mieć go w łasce. Więc parlament potrwa do Zielonych Świąt, a potem, otrzymawszy urlop, już się nie zbierze w dzisiejszym składzie. To jedna pogłoska, a druga, że Hohenlohe ustąpi za parę tygodni razem z Bötticherem; Marschall, podsekretarz do spraw zagranicznych, zajmie miejsce Böttichera, a miejsce Marschalla — Herbert Bismark, albo może ten Bismark pójdzie gdzieś na ambasadora, a za to inny dyplomata zastąpi Marschalla. Według trzeciej pogłoski będzie wbrew przeciwnie: wprawdzie Bötticher ustąpi, bo strasznie poróżnił się z von Köllerem przy licznych świadkach-deputowanych, czem nadwerężył powagę rządu, ale i v. Köller ustąpi zaraz po Zielonych Świętach, bo cesarz chociaż niechętnie, musi dać mu dymisyę, gdyż przekonał się, że „zmobilizowanego mieszczaństwa“ ku obronie wolności nie przełamie. Z tego jedno widać: że panuje chaos po ostatnich zajściach w parlamencie.

Korespondencye.

Wiedeń, 14 maja.

Wczoraj liberalny klub radnych miasta Wiednia odbył naradę, co począć w obec kandydatury Luegera na wiceburmistrza. Dziś prezydyum rady gminnej składa się ze samych liberałów. Burmistrzem jest dr. Grübl, jednym wiceburmistrzem dr. Richter, drugim Matzenauer. Już przed ostatnimi wyborami bardzo utrudniona była sytuacya burmistrza w radzie gminnej, mimo jego polityki pojednawczej, usuwającej z wielką starannością wszelkie punkta sporne z obrad. Frakcya liberalna nie zdobyła się na energię należytego odporu, nie miała takiej karności, ani organizacyi, jak stronnictwo Luegera. Coraz więcej stronników odpadało z szeregów stojących za burmistrzem. W bardzo niedwuznaczny sposób wiązali się oni z antysemitami, chcąc niby „godzić“. Takich „dzikich“ było 8—10, tak, że w pewnych kwestyach prezydyum narażone bywało na najcięższe porażki. Wybory ostatnie zmieniły jeszcze radykalniej skład rady gminnej. Na 138 radnych jest 64 antysemitów karnie związanych w stronnictwo żadnych nie bojące się środków pod egidą Luegera, a 63 liberalnych i 11 „dzikich“.

Liberalna frakcya jest w mniejszości, a gdy chwilowo dwóch jej członków ciężką złożonych jest chorobą, rozporządza tylko 61 głosami. Antysemici radni żądają godności jednego wiceburmistrza dla siebie i to dla Luegera, a gdyby im się ta godność nie dostała, chcą opozycyjną taktykę w hałaśliwszy jeszcze prowadzić sposób i żadnych nie uznają aktów i uchwał rady liberalnej. Tak np. dnia 17 bm. ma odbyć się wybór 8 radzców miejskich (Stadträthe) z płacą 3.000 zł. Otóż antysemici uchwalili, że na wypadek, gdyby Luegera nie wybrano wiceburmistrzem, żadnej z tych posad nie przyjmą, aby w ludności nie obudzić mniemania, że godzą się z istniejącym stanem rzeczy.

Z drugiej strony lawirujący między obu obozami „dzicy“, mający też pewne związki z umiarkowanymi antysemitami, chcieli wymódz na liberalnej frakcyi, aby wybrała wiceburmistrzem pierwszym zamiast Richtera, jakiegoś bezbarwnego członka, z którymby się część antysemitów prędzej godziła.

Burmistrz Grübl nie chce jednak na żadną z tych kombinacyi się zgodzić. Z Luegerem razem siedzieć w prezydyum ani on, ani dr. Richter nie może. Na wybór zaś bezbarwnego wiceburmistrza trudno im się zgodzić dlatego, bo antysemici zyskaliby tylko na czasie i na sposobności, aby dalej agitować wśród ludności i poczuwszy się na siłach, wymusiliby następnie zmianę osób w całem prezydyum. Burmistrz czuje, że do takiej chwili nie daleko i zamiast przedłużać wątpliwej wartości trzymanie się liberałów u steru, woli ustąpić, póki ma jeszcze możność ustąpienia z własnej woli. Liberałowie na opróżniającą się godność wiceburmistrza pierwszego będą wprawdzie stawiali kandydaturę Richtera, ale i on i burmistrz Grübl godność swą złożą, pozostawiając pole antysemitom. Zostanie z liberałów tylko Matzenauer w urzędzie wiceburmistrza, a on zastosuje się do uchwał, które jego frakcya ma powziąć. Zdaje się, że liberałowie każą mu zostać, bo chcą mieć jednego zastępcę w prezydyum, aby sobie ułatwić kontrolę nad administracyą nowego do władzy dopuszczonego stronnictwa.

Taktyka liberałów jest bardzo niebezpieczna. Sądzą zapewnie, że zniszczą antysemitów, dawszy im sposobność zużycia się w kilkuletnich rządach, że zmuszą rząd do wmięszania się w spory stronnictw miejskich i oświadczenia się za liberałami, którzy ministerstwo popierają, a przeciw Luegerowi i jego poplecznikom, którzy w parlamencie najjałowszą i najbezmyślniejszą przedstawiają opozycyę.

W rzeczy samej Lueger, jako burmistrz stolicy — jeżeli mu Cesarz udzieli sankcyi — jest niemiłą niespodzianką dla pewnych kół rządowych. Ale z takimi faktami gdzieindziej, w Berlinie np., gdzie radykalne żywioły panują w radzie gminnej, a rząd jest zawsze konserwatywny, dawno już oswoić się musiano. Gdyby liberałowie szukali byli zgody ze swoimi przeciwnikami przed kilku laty, gdyby dziś jeszcze wyrzec się mogli zbyt wysokiego o wyłącznym swym rozumie politycznym mniemania, toby w ciągu pewnego czasu namiętności stronnictw ucichły i stworzyłaby się podstawa do rzetelnej pracy dla miasta. Tego jednak nie uczynili i uczynić nie chcą. Liczą na to, że Lueger za wiele przyrzekał w zapale bojowniczym i że teraz bardzo mało z przyrzeczeń swych dotrzymać potrafi.

Lueger wygadywał na wielkie opodatkowanie komunalne, na połączenie przedmieść z Wiedniem i zwalenie na nie ciężarów, na zbyt małe płace urzędników miejskich itd. Otóż pokaże się, czy bez narażenia miasta na bankructwo potrafi z podatków coś opuścić, ciężary nowych dzielnic zmniejszyć, płace zaś urzędników podwyższyć. Zapominają tylko liberałowie, że administracya antyliberalna wszystkie posady wypełni swymi stronnikami; że urzędy komunalne, miejsca nauczycieli, inżynierów, lekarzy odda zaufanym swoim mężom; że wniknie w najdrobniejsze kanały życia miejskiego i że potem — choćby w ludności obudziła się opozycya przeciw nowej gospodarce — za późno będzie rugować potężnych przeciwników politycznych. Ludność zresztą nie posiada krytyki takiej, jaką jej przypisują liberałowie. Kto do niej przemawia w szynkach lub na ulicy i wiele przyrzeka, ten zawsze miał i kto wie czy nie zawsze mieć będzie słuszność. Lueger powoływać się może na to, że jego poprzednicy za wiele popsuli i że on nie może od razu naprawić wszystkiego. A liberałowie, którzy elegijnymi tonami żegnają okres swych rządów i w pismach swych piszą sobie przedpogrzebowe panegiryki, swoim staraniom przypisując wzrost miasta, wodociągi, szkoły, kanalizacyę, przypomniećby też sobie winni, że nie ma zarządu tak złego, który nie mógłby dokonać niektórych wielkich zadań, będących wynikiem niejako naturalnego biegu życia. Jeśli ich zasługą jest ruch budowlany, kanalizacya i wodociągi, to i ich zasługą byłyby krach, bankructwa z lat 1873 do 1876 i niezdolność stworzenia większego

---

10)

OPOWIEŚCI PRAWDZICA

(Obrazki z życia Sportsmana).

(Ciąg dalszy).

IV. „Alarm“.

I.

Było to w czasach, kiedy wiedeński „Jockey-Club“ nie miał jeszcze paradnego apartamentu na Augustiner Strasse, a mieścił się w skromnym, z kilku pokoi złożonym, hotelu Munscha.

Owego dnia po teatrze gwarno było w głównym salonie „Jockey-Clubu“. Powracający z teatru członkowie zastali na stołach najświeższy numer kalendarza wyścigowego, a w nim ogłoszenie wag przeznaczonych koniom, które miały brać udział w wielkim biegu myśliwskim w Preszburgu, gdzie wyścigi odbyć się miały za dwa tygodnie. Zajęcie było ogólne i bardzo żywe. Wszyscy mówili naraz, dyskutowali szanse każdego z koni, przyczem oczywiście nie obeszło się bez krytyki czynności „handicappera“, narzekań na jego niesłuszność, projektowania zakładów i t. d.

Hrabia Helfenstein uważany za powagę we wszystkich kwestyach wyścigowych nie mówił nic, i założywszy szkiełko w oko, bardzo pilnie studyował listę naznaczonych wag. Wreszcie, kiedy się gwar trochę uciszył, przemówił:

— Mnie się zdaje, że najlepszą szansę ma „Alarm“.

Głośny śmiech odpowiedział mu na to.

— Co! — zawołał młody książe Colatto — wszakże to wykłapany zupełnie koń jedenastoletni, a jeśli go książe K. zapisał, to chyba dlatego, żeby przez pierwsze przeszkody przeprowadził tę młodą klacz kasztanowatą „Miss“, która pójdzie na wygranę.

— A ja wam powiadam, że z tą lekką wagą „Alarm“ może wygrać.

— Cha, cha, cha! żartujesz.

— Chcecie się zakładać?

— Ale piętnaście, dwadzieścia na jeden, przeciw niemu.

— Dobrze, ja trzymam, ale trzeba notować.

Zasiadł tedy Helfenstein z ołówkiem nad kartką papieru i zaczął zakłady notować. Trzymano od piętnastu do dwudziestu pięciu na jeden przeciw owemu nieszczęsnemu „Alarmowi“.

Kiedy Helfenstein zamknął listę, okazało się, że zwycięstwo „Alarma“ przyniosłoby mu około dwudziestu tysięcy złr. Gdyby zaś koń przegrał, on musiałby zapłacić tysiąc kilkaset złr.

Skończyło się posiedzenie, i poszli na kolacyę; przedtem jednak Helfenstein zboczył jeszcze do kancelaryi klubu, napisał do właściciela „Alarma“ telegram, w którym zapytywał, czy koń jest na sprzedaż, i za jaką cenę?

Nazajutrz odebrał odpowiedź, że koń jest na sprzedaż, a cena była tak umiarkowaną, że się aż zadziwił, i w tej chwili odtelegrafował, że konia kupuje, i prosi, żeby go przysłano pierwszym pociągiem, którym będzie mógł odejść do Wiednia.

Hrabia Oskar Helfenstein był jednym z młodszych synów magnackiej rodziny. Starszy syn dzierżył majorat, on zaś, ze skromnym apanażem służył w wojsku, hulał, grał w karty, zakładał się na wyścigach, robił długi i z wojska występując, kiedy zlikwidował swoje mienie, okazało się, że mu zostaje około trzydziestu tysięcy złr. majątku.

Z tych, dwanaście tysięcy złr. włożył we wspólną stajnię wyścigową z baronem E., a stajnia ta biegała dość szczęśliwie.

Resztę zaś ośmnaście tysięcy złr. wkładał w grę w karty, zakłady, i z dochodów oraz z apanażu, jak wspomnieliśmy, skromnego, żył w Wiedniu jak mógł.

Słowem był to: „ein abgekrachter Kavalier“.

„Alarm“, jak powiedzieliśmy wyżej jedenastoletni, dużo biegał, dużo polował, dużo chodził na dystanse, był on, jak się słusznie wyraził jeden z klubistów, koniem „wykłapanym“ i właściciel chętnie go się pozbył za tanią stosunkowo cenę.

Helfenstein znowu będąc w rzeczach wyścigowych bardzo biegłym „du metier“, wiedział doskonale, że książę K. mając dwa konie w biegu, może przysłać tylko jednego na wyścigi, albo gdyby nawet przysłał obydwa, może chcieć wygrać klaczą. Dlatego konia kupił, a zapędziwszy się w zakłady do wysokości około dwudziestu tysięcy złr., — co w jego majątkowych stosunkach bardzo wiele znaczyło, chciał być pewnym, że wszystkie siły i szanse konia będą wyzyskane w owym wyścigu.

Był bardzo dobrym i doświadczonym jeźdźcem wyścigowym, więc postanowił sam na nim jechać.

Na drugi dzień po zawarciu tych zakładów zważył się, i okazało się, że ponieważ koniowi lekką naznaczono wagę, a on był duży i kościsty, musiał dużo stracić wagi; zaczął wtedy głodzić się, pocić itd., aby módz za dwa tygodnie w biegu jeździć.

Tymczasem wieść o zakładach porobionych na „Alarma“ gruchnęła po Wiedniu, a we dwa dni później podczas rannego galopu koni na „Freudenau“ o niczem innem prawie nie mówiono.

„Alarm“ przyszedł do Wiednia; umieszczono go w stajniach na „Freudenau“, ale kiedy go hr. Helfenstein oglądnął, zaczął bardzo kiwać głową, bo mu się wydał koń o wiele za tłustym na to, ażeby mógł biegać już za kilkanaście dni.

Dawszy mu dzień wypoczynku, wsadził na niego jakiegoś najętego „ad hoc“ żokieja, i kazał zrobić szybki galop na odległość 3 mil angielskich (4800 mtr.)

Po galopie koń wrócił do stajni na trzech nogach, i widocznem było, że dlatego był tłusty, że owa już naderwana kiedyś noga nie mogła wytrzymać roboty, która potrzebną była do nadania mu „kondycyi“ wyścigowej.

Hrabia Helfenstein był tedy w najgorszym humorze. Dwóch chłopców przez dzień i noc zmieniało się, żeby biednemu „Alarmowi“ robić zimne okłady, ale słaba była nadzieja, żeby mógł bieg wytrzymać, a tem mniej wygrać. Rachował więc Helfenstein, że stracił to, co za konia zapłacił, tysiąc kilkaset reńskich, które będzie musiał zapłacić wskutek przegrania zakładów, a w końcu nie wygra około dwudziestu tysięcy reńskich, o które porobił zakłady.

Ale owe dwadzieścia tysięcy miały dla niego ogromne znaczenie, więc z jednej strony starał się konia o ile możności wyleczyć z kulawizny, z drugiej dalej tracił wagę, ażeby sam mógł na nim jeździć, jeśliby koń mógł pójść. A że głodzenie się i poty nie wpływają na dobry humor, to też on był w okropnym.

II.

Prawdzic był już wtedy znanym jako jeździec wyścigowy w Galicyi, ale miał reputacyę jak sam o sobie mawiał „parafialną“; a marzył tylko o tem, żeby jeździć na jakimś torze wyścigowym poza granicami Galicyi — na torze europejskim. Wybrał się właśnie w owym czasie do Wiednia, a od wypadku wziął ze sobą strój wyścigowy.

Pomiędzy licznymi w stolicy naddunajskiej znajomymi, miał też wysokiego dostojnika dworu, który go bardzo nawidził, a sam był namiętnym miłośnikiem koni i wyścigów, miał też wyścigową stajnię.

Idąc razem ulicą spotkali Helfensteina w najkwaśniejszym humorze, do czego miał doskonałe powody, i Ekscelencya powiedział mu:

— Ot co będziesz się męczył i tracił wagę, potrzebujesz lekkiego jeźdźca, masz — i wskazał na Prawdzica.

Helfenstein, chmurny, sztywny, nic nie odpowiedział, a Prawdzicowi zrobiło się jakoś niemiło. Poszli razem do Jockey-clubu na obiad, którego Helfenstein oczywiście nie jadł, bo się głodził. Przy końcu obiadu jednak zapytał Prawdzica półgłosem, czy ma ze sobą strój wyścigowy, a w tym aż serce skoczyło i odpowiedział, że przywiózł ze sobą na wszelki wypadek.

Wtedy go Helfenstein wyciągnął z sali jadalnej, opowiedział całą rzecz o zawartych na „Alarma“ zakładach, o jego kupnie, o niefortunnem naciągnięciu ścięgna w pierwszym galopie, jaki zrobił będąc jego własnością, w końcu powiedział mu:

— Jeśli pan ma ochotę jeździć, to bardzo panu wdzięczny będę, że pan na tej kalece pojedzie, ale z góry sumiennie powiadam panu, że o całość kości pańskich najmniejszego zakładu nie zrobię. Przestrzegam pana, że na którejkolwiek przeszkodzie koń może nogę zupełnie urwać, przewrócić kozła, pan może kark skręcić a przynajmniej coś złamać. Otóż, mając lżejszą odemnie wagę, zrobiłby mi pan ogromną grzeczność, gdybyś na tej bestyi chciał jechać, to jabym się nie potrzebował dręczyć traceniem wagi, ale z drugiej strony zupełnie nie chcę brać na moje sumienie odpowiedzialności.

Prawdzic odrzekł, a głos mu się trząsł z emocyi:

— Ależ panie hrabio, mogę tylko być wdzięcznym za zaszczyt, który mi pan robi, powierzając mi szanse swego konia.

Prawdę mówiąc, gdyby mu byli wtedy przyprowadzili samego Lucypera w końskiej postaci osiodłanego, a choćby nawet nabitego dynamitem, byłby siadł na niego z pewnością.

— Jeśli pan chce — rzekł hrabia Helfenstein — możemy pojechać zaraz na „Freudenau“, to zobaczy pan konia; jest tłusty nieprzymierzając jak wieprz, bo oczywiście noga nie mogła wytrzymać treningu. Jak panu już mówiłem, skoro przyszedł tutaj, dałem mu ostry trzymilowy galop pod lekką wagą, no, i jest teraz na trzech nogach. Ale jeśli do przyszłej niedzieli wydobrzeje, o tyle, że nie będzie kulał, to musi pójść. Pojmuje pan, że dla mnie dwadzieścia tysięcy reńskich mają pewne znaczenie, ale jeszcze raz powtarzam, że mi zupełnie na tem nie zależy, żeby pan kark skręcił.

Pojechali tedy na „Fraudenau“ i tam w stajni ujrzeli obraz nędzy i rozpaczy. Koń stał nad żłobem z opuszczonemi uszyma na trzech nogach, czwartą nie dotykał ziemi. Pod żłobem siedział chłopak stajenny, który co kilkanaście minut odświeżał zimne na tej nodze okłady.

Cała fizyognomia zwierzęcia zdradzała cierpienie.

— No, pojedzie pan, jeśli się koń wyleczy

— Oczywiście, pojadę.

III.

W parę dni potem Helfenstein uwiadomił Prawdzica, że koń już wcale nie kuleje i zaproponował mu, ażeby nazajutrz o czwartej rano wyjechać i konia spróbować.

Pojechali też. „Alarm“ wyszedł pod chłopcem w bandażach wprawdzie, ale w krótkim kłusie nic nie kulał; potem zrobił krótki galop, a potem wsiadł na niego Prawdzic i znowu galopował — a zsiadłszy, powiedział hrabiemu Helfenstein, że nigdy nie siedział na równie łatwym i przyjemnym wyścigowym koniu.

— Chce pan spróbować na nim skakać?

— O, dziękuję, skoro skacze, to mi nie potrzeba próbować.

Helfenstein uśmiechnął się, bo poznał „profesyonistę“.

I tak przez kilka dni koń galopował, a noga jakoś wytrzymywała.

Nareszcie w wilię wyjazdu do Preszburga Helfenstein przysłał Prawdzicowi żółtą z czerwonemi rękawami kurtkę i czerwoną czapkę i dał mu rendez vous w Jokey Clubie przy obiedzie.

Po obiedzie powiedział mu:

— „Miss“ księcia nie pójdzie, bo nie przyszła, więc z siedmiu koni mianowanych pójdzie pięć, oczywiście poprowadzi Wolkenberg, ale niech pan na niego nic nie zważa, on w ogóle nie może trzymać, i nie umie; więc wróci do was, to jest udusi konia, i wy go dogonicie i wyprzedzicie. Kurtka w pasy białe i szafirowe. Wątpię bardzo, żeby „Alarm“ cały bieg wytrzymał, niech się pan stara na przeszkodach zwłaszcza podać się całą wagą w tył, bo gdyby mu w skoku pękło ścięgno, przeleciałby pan przez głowę, a coby się dalej stało?... nie chcę mieć pańskiego życia na sumieniu. Najstraszniejszym przeciwnikiem jest hrabiego Nagyhazy koń z Anglii świeżo sprowadzony „Donald“, prawie równie tłusty jak nasz, ale to bardzo dobry koń, zdrów na nogach, a nasz kulawy. Hrabiego Nagyhazy pan zna, bo pan z nim jeździł w Galicyi, to dziś pierwszy jeździec w monarchii, a jeden z najlepszych w Europie, tego niech pan pilnuje, jeśli pan w ogóle do końca dojedzie, — między nami mówiąc — ja się tego nie spodziewam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ruchu handlowego i ekonomicznego w Wiedniu. Lepiej jest chyba od obu zasług ich uwolnić.

W chwili, kiedy list ten kończę, popołudniowe wydania pism przynoszą wiadomość, że przy wyborze dzisiejszym z obecnych 135 członków 70 oddało swój głos Richterowi jako pierwszemu wiceburmistrzowi; Richter jednak natychmiast godności tej się zrzekł, a następnie po trzykrotnem głosowaniu, gdy liberałowie i „dzicy“ oddali kartki próżne, wybrano Luegera 66 głosami. Pokazało się, że liberałowie ustępują, choć rozporządzają większością, chwilowo. Burmistrz Grübl dziś jeszcze złoży swój urząd w ręce wiceburmistrza Luegera, który wykonał już przysięgę i w mowie programowej przyrzekł, że bronić będzie pokrzywdzonych praw ludu, że zmieni statut gminy i z bezwzględną sprawiedliwością wobec przeciwników i stronników prowadzić będzie sprawy.

Obiega też pogłoska, że Matzenauer również zrzecze się swego urzędu. Uchwała klubu liberalnego nie zapadła jednak jeszcze. Rozpoczyna się tedy nowy okres ciężki dla miasta, bo opozycya — tym razem liberalna — będzie w większości, co nadzwyczaj ujemnie wpływać musi na tok obrad i energiczność zarządu.

MAŁY FELJETON.

Listy z Wenecyi.

Odkąd tu jestem, najmniej patrzę na rzeczy najgłówniejsze. Stanowi to już zresztą właściwość mojej natury. Piękności, które milion piór opisało, milion pędzli przeniosło na płótno i milion spojrzeń bezmyślnych sprofanowało, nader słabo ciągną mnie do siebie. Nie byłbym zdolnym zakochać się w kobiecie, której urodę cały świat zna i podziwia i której wizerunki wystawiane są na pokaz w miejscach publicznych.

Cała Piazza i cała Piazzetta, wszystkie na nich marmury i wszystkie przy nich gmachy, smukłe pili, powiewające w każdy dzień uroczysty flagami narodowemi, i para monolitów potężnych, które zdają się strunami dwiema pomiędzy niebem a ziemią naciągnionemi — wszystko to o wiele więcej zachwycałoby mnie, gdyby było mniej znane, mniej chwalone, mniej pospolite.

Ile razy z ustami otwartemi stanę przed którymkolwiek z tych cudów, zaraz mi przychodzą na pamięć całe szeregi lichych płócien, na których go odtwarzano. Usta zamykam, stygnę w zapale i niosę swój zachwyt gdzieindziej, do jakiegoś zaułka, o którym żaden przewodnik nie wspomina, pomiędzy groby weneckie, gdzie tylko jaszczurki w suchej trawie szeleszczą, — na ghetto wreszcie, gdzie Szajlok bez żółtej czapki kupczy podrabianymi Tycyanami, patrząc pobłażliwie, a nawet zachęcająco na umizgi tużurkowych Lorenzów do swej niedomytej Jessyki.

A jednak bazylika św. Marka jest wspaniale piękna, posiada bowiem to, co Wiktor Hugo pragnął widzieć na paryskim Łuku tryumfalnym: pleśń przeżytych stuleci. Ta pleśń właśnie, ta archaiczna „patyna“, za którą starożytnicy tak bardzo się ubiegają, drogocenniejszą jest dla mnie nad wszystkie złotniczo-kamieniarskie jej skarby i nad pięćset kolumn marmurowych zdobiących jej czoło i wnętrze, nad mozajki przecudne, któremi z rozrzutnością heliogabalową wyłożono jej ściany, sklepienie i posadzkę; nad posągi białe, duchom ulatującym podobne, i nad misterne wypukłorzeźby Sansovina, którym dniami całymi przyglądać się można, nieustannie coś nowego w nich odkrywając; nad ten klejnot ponad klejnotami, który zowie się „pala d'oro“ i w rzadkich tylko chwilach tłumowi bywa pokazywany, i wreszcie czwórkę tych koni ze złoconego bronzu, które z rzymskiego Łuku Nerona przez Byzancyum tutaj się dostały i w łunie zachodniej płoną ogniście, jak rumaki z eliaszowego rydwanu.

Wieczorami, gdy na placu św. Marka zabłyśnie uroczysta iluminacya i noc w ulewie drżących zielonawo-srebrzystych promieni, bazylika nabiera nadziemskiej piękności rzeczy wskrzeszonych. Wówczas cała ta ciężka, osadzista, ozdobami przeładowana masa zdaje się lotną, nieważką i podobną mirażowi, którego pierwowzór istnieje kędyś daleko, w niematerjalnych sferach pozaświecia. Wówczas też blade za dnia mozajki ożywiają się i wypuklają, złote rumaki rwą się do lotu i świątynia, skrzydłami aniołów wzruszona, rośnie, chwieje się i od ziemi — rzekłbyś — odrywa.

Zachwyt i trwoga ogarniają mnie, ile razy o późnej godzinie wśród zupełnej ciszy i samotności placu, widzenie to spotkam przed sobą. Cmentarny charakter Wenecyi uwydatnia się wówczas z całą potęgą niezmiernego, beznadziejnego smutku i miasto-upiór ciągnie za sobą w tajemnicze, majakami przeszłości wypełnione otchłanie. I widzę wówczas jak niewłaściwem jest dla ludzi smutnych to miasto, melancholią nasiąkłe, i jak unikać go powinni wszyscy, którzy się w smutku swym nie kochają, lecz uśpićby go pragnęli i znieczulić.

Po kilka razy zachodziłem do wnętrza Bazyliki, ale zawsze przelotnie i zawsze na krótko. Raz natrafiłem na nabożeństwo solenne. Świątynia pełna była blasku, bijącego od złoceń, od kryształów, od sukien kobiecych barwnych, krzykliwych, papuzich. Chmury niebieskiego, wonnego dymu unosiły się pod sklepienie, przeszyte tu i owdzie brylantowemi strzałami słońca. Dzwoniono hałaśliwie, jakby lubując się w tym ostrym, szarpiącym nerwy dźwięku, a ile razy dzwonki ucichły, odezwał się śpiew i muzyka. Wykonywano na chórze arye operowe, które w teatrze przypominałyby kościół, w kościele zaś przywodziły na myśl teatr. Skupić w zamęcie takim myśl i podnieść ją aż do Boga, potrafi tylko Włoch — albo Francuz. Dla mnie okazało się to niemożliwem. Wyszedłem z olśnionym wzrokiem i pełnemi zgiełku uszyma, odczuwając całą różnicę temperamentu i wrażliwości, jaka dzieli południe od północy.

Kiedyindziej, wstąpiłem tam w porze przedwieczornej, kiedy już pora nabożeństw minęła, szare zmierzchy kładły się po ścianach i ufać mogłem, że w mieszkaniu Boga, z Nim tylko jednym znajdę się sam na sam.

Omyliłem się.

Przed wejściem, z natręctwem zgłodniałej muchy, rzucił się na mnie przewodnik; trzech innych obskoczyło mnie w kruchcie; piąty włóczył się za mną po całym kościele jak zmora, nieubłagany, nieugięty, niedający odpędzić się milczeniem, prośbą ani groźbą.

W świątyni spodziewałem się znaleźć ciszę; znalazłem gwar rozmów włoskich, francuskich, angielskich. Gromadki turystów, których narodowość stopień ruchliwości i krzykliwości wskazywał odrazu, przechodziły od ołtarza do ołtarza, od posągu do posągu, od mozajki do mozajki, wiodąc głośno djalogi i zasypując pytaniami przewodników, którzy jarmarcznym, zachrypłym głosem wypowiadali swe katarynkowe objaśnienia.

Poprzednio znalazłem się w teatrze, teraz w galeryi publicznej. Domu modlitwy napróżno dotąd szukałem.

Zresztą, choć to wygląda na paradoks, powiem, że i modlitwa jest tu inna i sposób modlenia się nie taki jak u nas. Włoch gotów jest zaśpiewać w kościele, na chwałę bożą, *cavattinę* z „Cyrulika sewilskiego“, nie widząc w tem żadnej zgoła niestosowności. Czuć w tem pokrewieństwo plemienne z Hiszpanią, gdzie w miłym chłodku świątyń chrześcijańskich, damy pijają czekoladę, chrupią biszkopty i obdzielają się wzajem ploteczkami.

Oto naprzykład w cichej kaplicy, której wielkie, słońcem zalane okno szkarłatną oponą zasunięto, daje się słyszeć prędki stukot damskich bucików.

Drobnym, szybkim krokiem wbiega Wenecyanka, cała w koronki czarne spowita i mimo upału i zmęczenia, matowo-biała. Przypada do stojącego pod murem klęcznika, wspiera się o rzeźbioną deskę; koronkę z twarzy odrzuca i zanim jeszcze pozdrowiła Boga, zaczyna się pośpiesznie wachlować. Wielki, purpurowy wachlarz migoce w jej ręku jak krwawa błyskawica, a przymknięte oczy, rozchylone usta, błyskająca z pomiędzy nich białych zębów emalia i cały wyraz twarzy, w gorących, czerwonych odblaskach skąpanej, mówić się zdają:

— Ach, jak mi dobrze! Ach, jak mi tego było potrzeba!...

Uspokoiła się wreszcie i odpoczęła. Wachlarz zamyka i odkłada na stronę, poprawia fałdy koronkowej zarzutki, łokcie opiera na klęczniku i palce rąk zaplata. Wyraz jej twarzy zmienia się. Rozkoszne rozleniwienie ustępuje miejsca pobożności, a z warg szkarłatnych i z falującej piersi wybiega szept, westchnieniami krótkiemi przerywany:

— Jezu, skarbie mój!... Jezu, serce moje!.. Jezu, miłości moja!...

A oto inny obrazek z natury.

Noc. Zaułek na krańcach Wenecyi. W zagłębieniu muru posążek Madonny, obstawiony doniczkami z kwieciem; przed posążkiem mała lampka czerwona, — której płomieniem wiatr chwieje. Księżyc to wypływa z za chmur, to się za nie chowa. Woda w kanale pluszcze, mruczy i szemrze, jakby ktoś razem modlił się, całował i płakał.

Pod kamienne schody podpływa milczkiem łódź czarna. Wysiada z niej kobieta w chustce dużej, pod którą coś ciężkiego ukrywa. Wysiada i jęcząc, ciężar swój pod stopy Madonny niesie. Zbliża się, chustkę odkrywa i na kamieniach składa — dziecię. Dziecię jest chore, bezsilne i od gorączki nieprzytomne. Nawet płakać nie może.

— Prędko mam wrócić? — pyta odpływający przewoźnik.

— O zorzy! — odpowiada kobieta.

Rzuciła się na kolana, włosy jednem szarpnięciem ręki rozplotła i rozpoczyna modlitwę. Modli się o zdrowie dziecka. Dziwna to modlitwa! Kobieta nie prosi, ale się upomina, nie korzy się, ale wygraża, nie płacze, ale zgrzyta i wyje. Jest to jakby zacięta obrona lwicy, której chcą zabrać lwiątko. I przez kilka godzin słychać tę dziwną modlitwę, tak niepodobną do naszej, a powtarzaną stokrotnie przez echa kanałów i lagun..

Tak się w Wenecyi modlą.

Wiem już także, w jaki sposób w drogę wieczności wyruszają.

Od czasu do czasu, na wystawach sklepowych spotykam niewielkie kartki z czarną obwódką, — niedbale pomiędzy towar rzucone. Z początku zgadnąć nie mogłem, co one znaczą i dziś już wiem, że są zawiadomieniami o śmierci.

W *pasticcerii* pomiędzy ciastkami, w *pollerii* wśród oskubanego drobiu, w *latterii* na osełkach sera, u szewca w cholewce bucika, u winiarza pod pękatą butlą marsali, u cyrulika między słojami pijawek bielą się te biuletyny śmierci, w których, prócz wąskiej, czarnej obwódki, nic zresztą nie ma żałobnego. Styl nadęty, teatralny, panegiryki zeszłowieczne i współczesne reklamy przypominający, odbiera im nawet powagę. Nietylko niedoścignioną doskonałością jest tam każdy nieboszczyk, ale wzorami cnót i przedmiotów są też wszyscy członkowie osieroconej rodziny. „*X. X. stuccatore, unico artista dei tempi!*“ — czytam na jednej z kart, donoszących o śmierci zwykłego kamieniarza.

Pogrzeby wyruszają zwykle z kościoła o bardzo wczesnej godzinie, gdy Wenecya jedno dopiero oko ze snu otwarła. Najkrótszą drogą kierują się do pobrzeża laguny, stąd zaś najczęściej złożonego do czarnej gondoli trupa, odwożą już tylko znajomi na *San Michele*. Rodzina nie towarzyszy nigdy zwłokom, lecz pozostaje w domu i według obyczaju oddaje się płaczom i lamentom. Każdy zaś pogrzeb odbywa się z pośpiechem i z dziwną ukradkowością, jakby chciano jak najprędzej a niepostrzeżenie usunąć czarną plamę smutku z błękitno złotego tła życia i przyrody.

„Grzebać żyda“ znaczyło u nas w XVI i XVII wieku knuć coś potajemnie; dziś możeby w tem samem znaczeniu należało mówić: „grzebać Wenecyanina“.

Pomiędzy śliwkami hiszpańskiemi a świeżą *fava* znajduję raz zawiadomienie, że nazajutrz o 8ej rano wyruszy z Bazyliki czyjś pochód pogrzebowy. We wskazanej godzinie jestem na miejscu. Sługa kościelny gasi świece i zabiera się do sprzątania katafalku.

— Gdzie pogrzeb?

— Tylko co odszedł.

Wybiegam, wzrok wytężam i w oddaleniu miga mi niewyraźnie gromadka czarno odzianych ludzi, niby stado odlatujących jaskółek. Zbliżyła się do morza i zaraz na wszystkie strony rozpierzchła. A na falach widać tylko trzy duże, żałobne gondole, które posuwają się szybko w stronę Lido, trzem czarnym, spłoszonym łabędziom podobne.

Wenecya ucieka przed smutkiem, ale smutek goni ją i dogania. Całe miasto jest cmentarzem, a Bazylika, prochy dożów i patrycyuszów nakrywająca, to tylko jeden z jego bogatych nagrobnych kamieni.

Mogą inni na cześć tego dziwa architektury głosić hymny pochwalne; na moje usta widok jego przywołuje tylko westchnienie:

— *R. quiescant*

KRONIKA.

Lwów 17 maja.

Mianowania. Wydział krajowy uchwałą z dnia 8 maja br. zamianował p. Bronisława Sądeckiego notaryusza i burmistrza w Żywcu, kuratorem krajowego naukowego warsztatu tkackiego w Rychwałdzie.

Ślub. W kościele św. Maryi Magdaleny odbył się onegdaj ślub p. Edmunda Kolbuszowskiego, członka naszej redakcyi, z panną Zofią Dzikowską, córką publicysty p. Mieczysława Dzikowskiego. Państwo młodzi wyjechali po ślubie na wieś w rawskie.

Wiadomości dyecezyalne. Archidyecezya lwowska obrz. łac.: Administracyę excurrendo Machlińca powierzono ks. Andrzejowi Treszczyńskiemu, proboszczowi w Sokołowie. Konkurs na probostwo w Bździanowie i Niemirowie ogłoszono z terminem do 15 czerwca 1895. Dyecezya tarnowska: Konkurs parafialny z pomyślnym wynikiem złożyli: ks. Jan Figiel, administrator w Tęgoborzy; ks. Jan Jarzębiński, proboszcz w Mystkowie; ks. Stanisław Rzepecki, wikary w Ujściu solnem; ks. Franciszek Sosin, wikary w Borowej; ks. Wincenty Wnęk, wikary w Pstrągowej.

Na dochód budowy domu słuchaczy lwowskiej politechniki odbędzie się dnia 18 maja b. r. w teatrze hr. Skarbka przedstawienie składane z następującym programem:

1) Uwertura z opery „Jadwiga“ odegra orkiestra teatralna pod kierunkiem p. Jareckiego. 2) „Zemsta bogini“, komedya w 1 akcie. 3) Chór Lutni. 4) „Akrobata“, komedya w 1 akcie Feuilleta. 5) „Traviata“, solo skrzypcowe, p. Wolfsthal. 6) „Schadzka“, komedya w 1 akcie Przybylskiego. 7) „Faust“, p. Szymański (spiew solo). 8) „Debiutantka“, humoreska w 1 akcie, odegra p. Czaplińska. 9) Marsz gogów. 10) Nie ma czasu“ La buche.

Dr. Władysław Łaszczyński, dyrektor krajowej średniej szkoły rolniczej w Czernichowie został przez Wydział krajowy uwolniony z zajmowanej posady z powodu bardzo nadwątlonego stanu zdrowia.

Towarzystwo prawnicze urządza od wielu lat w czasie letnim co wtorek wycieczki do Żelaznej wody za stawem Kamińskiego. Zebrania te towarzyskie, w których i panie biorą udział, cieszą się wielkiem powodzeniem.

Dnia 14 b. m. odbyła się w tym roku pierwsza taka wycieczka i znakomicie się udała. Urocza miejscowość i gry towarzyskie przyczyniają się wielce do urozmaicenia wesołej a zupełnie swobodnej zabawy, odznaczającej wszystkie zebrania Towarzystwa prawniczego.

Wycieczki te ułatwia dogodna komunikacya albowiem od ostatniej stacyi tramwaju elektrycznego idzie się tylko kilka minut do miejsca zabawy.

Gustaw Freytag. Zmarły niedawno słynny pisarz niemiecki, autor powieści „Soll und Haben“, opisującej walkę dwóch żywiołów etnograficznych na granicy Niemiec i Poznańskiego, pochodził z rodziny polskiej. Dziad jego nazywał się Piątek. Petersburski *Kraj* pisze z tego powodu:

Czytając żale dziennikarzy niemieckich, wylewane na trumnę zmarłego świeżo powieściopisarza, nie można opędzić się myśli, że gdyby Sziąsk pruski przez inne był w wieku dziewiętnastym przechodził koleje, literatura niemiecka miałaby o jednego przedstawiciela mniej.

Refleksya ta, jakkolwiek nasuwająca się natrętnie, nie jest w stanie obudzić w nas głębokiego żalu. Gdybyśmy mieli zazdrościć Niemcom ich autorów, to zaiste nie bogów niższego rzędu, w rodzaju Freytaga. Pozostawiając go zatem narodowi, który wchłonął w siebie szląską rodzinę Piątków, wolimy poprzestać na uwadze, iż lepiej się stało, że „Soll und Haben“ na tytułowej karcie nosi nazwisko o brzmieniu niemieckiem i że niemieckie nazwisko figuruje na tytule cyklu historycznego, w którym tendencya polityczna góruje nad wszystkimi innymi względami.

I z powieści Freytaga atoli niejednego można się nauczyć. Dla nas najwymowniejszem a strasznem w swej prostocie jest godło, którem opatrzył powieść mającą stanowić niejako analizę sił, ścierających się od wieków na wschodnich kresach Niemiec. „Kto chce poznać naród niemiecki, niech mu się przypatrzy przy pracy.“ Obierając takie motto, czuł, że dotyka jądra sprawy. Praca milionów rąk niemieckich była najpotężniejszym czynnikiem między wszystkimi, jakie od lat tysiąca kierowały losami tej walki. Na szczęście jestto czynnik, który z biegiem lat zrównoważonym być może: bo przeciw zaborom, pracą pokojową dokonywanym, nie ma skuteczniejszej obrony jak praca.

Festyn korpusów wakacyjnych. Festyny korpusów wakacyjnych cieszyły się zawsze wielkiem powodzeniem, tylko rok przeszły nie dopisał, owszem komitet poniósł znaczne straty, gdyż ustawiczne deszcze paraliżowały najlepsze chęci komitetu i publiczności. Towarzystwo nauczycieli ludowych m. Lwowa urządza w niedzielę 19 maja wielki festyn z tombolą na Wysokim Zamku na dochód korpusów wakacyjnych. Spodziewać się należy, iż kto tylko ma dzieci w szkole, pospieszy na Wysoki Zamek i przyczy i się do urzeczywistnienia poczciwych intencyi komitetu i inicyatorów, którzyby pragnęli, aby ani jeden chłopak nie był przykuty wśród tropikalnych upałów do Lwowa, lecz by wszyscy zapisali się do korpusów wakacyjnych i rozkoszowali się świeżem powietrzem zielonych łąk, pól i lasów. O obfitym programie doniosą afisze.

Nowy Rinaldo-Rinaldini. W mieście Kubie, na Kaukazie, oddano pod sąd wojenny sprawę 13 rozbójników, którzy stanowili wybornie zorganizowaną bandę, będącą od wielu lat postrachem całej okolicy, a zwłaszcza powiatu kubińskiego. Banda miała swój regulamin, a nie każdy mógł dostąpić zaszczytu zaliczenia w poczet członków stałych tego stowarzyszenia. Kandydat musiał najpierw odznaczyć się jakiemś głośnem zabójstwem na własną rękę, zanim mógł liczyć na przyjęcie go do bandy. W ten sposób unikano szpiegów. Banda istniała od 1888 r., była uzbrojona w wyborną broń białą i w kawaleryjskie berdanki. Rozbójnicy na Kaukazie są rzeczą zwykłą; obyczaje tuziemców i sama natura pomagają do wytworzenia całej masy opryszków, gnieżdżących się po różnych niedostępnych jarach. Ale ten oddział bandytów wyróżniał się pod każdym względem. Z niepojętą szybkością przerzucał on się z jednego końca pow. kubińskiego na drugi, spełniając po drodze mnóstwo napaści, rozbojów i grabieży. Banda miała swój specyalny uniform, tak powszechnie znany, że małe chłopaki odróżniały każdego członka bandy od zwykłego śmiertelnika. Czarna czerkieska, obszyta wokoło szerokim złotym galonem, gunia również złotym galonem okolona, a na ramionach, zamiast epoletów, blachy z kutego srebra — oto ich strój charakterystyczny. Berdankę nie zaraz dawano nowowstępującemu, lecz w nagrodę położonych już zasług. Wszyscy mieszkańcy powiatu byli przez tych bandytów opodatkowani, w stosunku do zamożności, w wysokości od 5 do 500 rs. Nikt nawet nie pomyślał o wyłamaniu się z pod tego podatku.

Wysłaniec atamana bandy przychodził do drzwi domu, wywoływał gospodarza i oświadczał mu, że z rozkazu atamana ma tyle a tyle zapłacić; odmowa najczęściej karana była śmiercią, ataman bowiem polecał krótko: „Da, zostawić go w spokoju; nie da, zabić.“ Za skargi władzom lub policyi odcinali lub wykręcali palce, kaleczyli, a często i zabijali. Wszystkie zabójstwa spełniano jawnie, w pobliżu domów, w ogrodach, na polu, tak iż mordercze wystrzały słychać było w chałupach i zawsze można było widzieć uciekających sprawców zbrodniczego napadu. Gdy ktoś umiał jakoś uniknąć spotkania z wysłańcem atamana po podatek i niepodobna było winnego dosięgnąć, banda zapowiadała, ażeby się nie ważył sprzątać swego zboża z pola; trzeba było roboty w polu dokonywać pod osłoną całych oddziałów zbrojnych. Jedynem miejscem, które banda omijała, była wieś Kusary, gdzie konsystował pułk piechoty. Raz tylko napadli dowódzcę pułku w nocy i ograbili go, ale wysłany bezzwłocznie pościg ujął winnych, z których jeden ranny w potyczce z wysłanymi w pogoń żołnierzami, umarł w szpitalu, a dwóch zesłano na Sachalin.

Skreślona dla sądu historya bandy notuje mnóstwo różnych napadów i zajść, znamionujących niesłychaną zuchwałość i bezczelność bandy. Prześladowana bezustannie przez władze, banda rozpraszała się parokrotnie, ale zawsze jakoś zorganizowała się nanowo i działała energicznie. Paru hersztów dostało się w ręce sprawiedliwości i zawisło na szubienicy, ale zawsze znalazł się godny następca, który żelazną dłonią ujmował berło władzy. Do pomocy miejscowej straży wyznaczono oddział wojska, złożony z 60 ludzi, pod dowództwem 3 oficerów. Trzy miesiące trwał zawzięty pościg i chociaż nikogo nie ujęto, rozproszono jednak bandytów. Nie było wodza. Aż oto w 1893 roku zjawia się zbieg z Syberyi, z ciężkich robót, Szych-Zade, człowiek wściekłej odwagi i stanowczy. Organizuje on bandę na nowo i wskazuje jej jasno cel: „Zebrać pieniądze i uciec do Persyi“. Od tej chwili panika ogarnęła cały powiat. Bandyci w aułach mieli swoich agentów, którzy donosili im o wszystkiem, co się o nich mówi i co się robi. Banda wskutek tego manewrowała najspokojniej, z całą bezczelnością, mając zapewnioną do pewnego stopnia bezkarność. Podatek swój ściągała najpunktualniej.

Jeden z rozbójników pracował w aptece na Sachalinie, nauczył się tam czytać i pisać; sprawował więc obowiązki kasyera bandy. Prowadził kontrolę zabitych, a ze znalezionego przy nim notatnika można wnosić, że bandyci rozkładali nałożone podatki niektórym na raty. Kasyer ów wyznaczał termin płacenia podatku, a jeśli klient zaległ, to za każdy spóźniony dzień wyrywał mu po jednym zębie. W działalności bandy była pewnego rodzaju solidarność; gdy strzelano do człowieka, to zawsze w kilku razem, jeśli ugodzono kogoś białym orężem, to wszyscy obecni kłóli lub rąbali ofiarę, chociażby ta była bez życia. Szych-Zade miał czterech nieletnich adjutantów, którzy rozwozili jego rozkazy. Tyrania łotrów doszła do szczytu, bili i zabijali najniewinniejszych, wprost dla sportu, wreszcie wysadzili w powietrze dom z całą rodziną Gabibkenta.

Wówczas to miejscowy „starszyna“, Achmed, krewny zabitej rodziny, poprzysiągł na koran zemstę bandzie; przyszedł mu z wielce czynną pomocą pokrzywdzony również Kodża-bek. We dwóch zebrali oni kilku jeźdźców dobrze uzbrojonych, wyznaczyli im dobre wynagrodzenie i wspólnie ze strażą ziemską rozpoczęli pościg. Wtedy już cała ludność stanęła po stronie władz administracyjnych, bez względu na panikę, jaką rabusie szerzyli bezustannie. Pięć miesięcy trwała pogoń dniem i nocą za bandydami i wreszcie ścigający otrzymali zawiadomienie, gdzie zapowiedzieli nocleg bandyci. Gospodarz chaty, w której rozbójnicy gościli, pod jakimś pozorem wydostał się na zewnątrz i pozamykał wszystkie wyjścia, a ścigający oddział otoczył już chatę w około. Wezwano bandytów do poddania się. Usłyszawszy obce głosy, Szych-Zade, wyłamawszy drzwi, wydostał się na zewnątrz, ale w tej chwili padł strzał, który ranił herszta. Rozbójnicy cofnęli się do chaty, wciągając rannego. Zade, klęcząc, jeszcze strzelał do otaczających, wkrótce jednak skonał ze słowami koranu na ustach. Zaopatrzeni w amunicyę bandyci poddać się nie chcieli i złożyli broń wtedy dopiero, gdy im zapowiedziano, że dom otoczony zostanie słomą i spalony. Bandytów było jedenastu. Dwóch ostatnich, jacy jeszcze pozostali, ujęła straż ziemska w ten sam sposób.

Sąd wojenny skazał wszystkich trzynastu na powieszenie.

Festyn. Na dochód ludności dotkniętej klęskami elementarnemi odbędzie się j u t r o w sobotę na Wysokim Zamku wspaniały festyn pod protektoratem p. br. Gostkowskiej. Komitet przygotował mnóstwo niespodzianek, między innemi odbędą się wyścigi cyklistów i konkurs piękności. Muzyka 30 pułku pod batutą sympatycznego kapelmistrza p. Rolla.

Instytut pensyjny dla urzędników prywatnych. Deputacya 3 Towarzystw, a mianowicie wydziału centralnego Towarzystwa oficyalistów prywatnych, reprezentowanego przez prezesa Stefana hr. Zamoyskiego i dyrektora Romualda Makarewicza, wiedeńskiej grupy urzędników prywatnych pierwszego ogólnego Towarzystwa urzędników austr. węg. monarchii i krajowego związku urzędników prywatnych w Czechach, udała się w towarzystwie posłów D. Abrahamowicza, Lewickiego, Rutowskiego, Wachnianina, Götza, Mengera, Ema i Herolda, do ministra spraw wewnętrznych Bacquehema i wręczyła mu memoryał, zawierający życzenia urzędników prywatnych. W memoryale tym żądają urzędnicy prywatni wniesienia projektu ustawy o utworzeniu obowiązkowych instytutów pensyjnych dla urzędników prywatnych, przedtem zaś zwołania ankiety, która mogłaby dać obu stronom sposobność do wypowiedzenia swych zapatrywań. Minister wypytywał członków deputacyi o szczegóły ich żądań i oświadczył, że rząd rozważy życzenia urzędników prywatnych a następnie poweźmie postanowienie co do zwołania żądanej ankiety. W sprawie tej dowiadujemy się także, że onegdaj na posiedzeniu Izby posłów wniósł poseł Dawid Abrahamowicz petycyę naszego Towarzystwa oficyalistów prywatnych o utworzenie obowiązkowych instytutów pensyjnych dla urzędników prywatnych wszystkich kategoryj, a Izba uchwaliła dla ważności sprawy petycyę tę w dosłownem brzmieniu zamieścić w stenograficznym protokole tegoż posiedzenia.

---

33)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Afisze włoskie ustąpiły miejsca nieczytelnym ogłoszeniom chińskim, a na trotoarze słyszę kłapanie drewnianych podeszew Chińczyków. Mali i wątli, z twarzą gładziutką i bez zarostu, w kapeluszach okrągłych, z włosami splecionemi w warkocz i wysmarowanemi oliwą, w milczeniu idą to w tę to w ową stronę. Pod bluzą niebieską z szerokiemi rękawami, nie można rozróżnić formy ich tułowia. Nogi ich już z natury małe, wydają się jeszcze mniejsze z powodu szerokich pantalonów. Karły te o rysach delikatnych, z oczyma skośnemi, których czarny kolor dziwnie odbija od żółtego koloru skóry, z wystającymi policzkami i spłaszczonym nosem, robią wrażenie zwierząt, które niebawem zaleją całe miasto, zarabiać będą, zarabiać bez końca — i wreszcie wszystko zburzą. Jest coś z węża w tych płaskich twarzach i jakaś zagadkowa wytrzymałość w ich spojrzeniu, które zdaje się nie wchłaniać nic z otaczającego świata. Po opuszczeniu dzielnicy włoskiej także Bazarow stał się tak samo obojętny na wszystko, jak ci dziwni przechodnie. Nienawidzi on ich z całej duszy, gdyż to są wrogowie socyalizmu, niebezpieczniejsi od najsroższych kapitalistów. Pracują bowiem za byle co, a pracują po piętnaście i szesnaście godzin dziennie zawsze jednakowo, nigdy się nie męcząc. Przez nich upadają rzemiosła, to też trzeba ich bronić przeciw wściekłości ich współzawodników, należących do rasy białej, których zrujnowaliby w ciągu kilku lat, gdyby im dano zupełną swobodę. W miarę, jak oblicze agitatora staje się coraz bardziej ponure, detektyw staje się coraz jowialniejszy. Mówi nam, że ci ludzie są bardzo grzeczni. Wstępuje do ich sklepów, przerzuca wszystkie przedmioty, potężną swą rękę klepie każdego Chińczyka po ramieniu, śmiejąc się serdecznie. Mali ludzie żółci łypią swemi czarnemi oczkami z dobrodusznością, w której przebija złośliwość. Ofiarują nam na sprzedaż swoje towary, herbatę w eleganckich pudełkach, wyroby z laku, tkaniny, porcelanę, wszystko liche, godne bazaru dwudziesto-rzędnego. Stawiają ceny szalone i uśmiechają się, gdy się z nimi targuje, nie nalegając wcale na kupienie. Nie z handlu oni żyją w Nowym Yorku, ale z prania bielizny, którego podejmują się po cenach tak niskich, że uczynili przez to wszelką konkurencyę niemożliwą. Zresztą tak mało potrzeba im do życia.

Wchodzimy do jednej z ich restauracyi, aby zdać sobie sprawę z ich sposobu życia. Na stołach okrągłych i bardzo wysokich, stoją zastawione potrawy, czekając na konsumentów: pomarańcze ze skóry obrane i nakryte nią, cebula garnirowana, jakaś siekanina wśród liści zielonych i przeróżne najdziwaczniejsze surowizny, przydatne dla żołądków zupełnie odmiennych od naszych. — Wszędzie stoją długie cybuchy z małemi metalowemi fajeczkami, zdradzające tradycyjny występek tej rasy, straszne zamiłowanie palenia opium.

„Trzeba przyjść w nocy — rzekł Clark — zobaczyć jak palą. W dzień pracują oni, a przerwa między pracą a nocą jest u nich tak krótka, że w tym czasie nie mają nawet czasu robić źle. Gdyby tylko oni byli w Nowym Yorku, pan Byrness nie miałby wiele zajęcia....“

Podczas gdy wyżeł policyjny mruczy w ten sposób, patrząc na Bazarowa, twarz tego ostatniego rozjaśniła się, a jego grube usta zaczynają mówić. Jesteśmy bowiem pomiędzy jego współwyznawcami, gdyż właśnie przeszliśmy z dzielnicy chińskiej do żydowskiej. Po większej części są to żydzi niemieccy i polscy. Cóż to za niespożyta i niezwyciężona rasa, którą znajduję taką samą tutaj, jak w uliczkach Tangeru, Bejrutu i Damaszku. Skąd przybyli ci biedni żydzi tego kwartału? Przez jak wstrętne odyssee przeszli oni, zanim rozłożyli na tem przedmieściu Nowego Yorku swoje kramy, nędzne szopy, których właściciele znajdują sposób sprzedania rzeczy, które zdają się być wprost niemożliwe do sprzedania, jak stare kawałki żalaza, stare guziki, stare kawałki drzewa, stare pukle włosów? Wszędzie znajdujemy te stare rupiecie, w szopach, na trotoarach. Afisze są tu hebrajskie, chłopcy roznoszą hebrajskie gazety i wrzaskliwie ofiarują swój towar na sprzedaż. Bachorów roi się takie mnóstwo, że mimowoli przychodzi na myśl przyrzeczenie Starego Testamentu: „mnożyć się będziecie jak piasek w morzu“.

Bazarów jest teraz u siebie w domu. Na każdym kroku pozdrawiają go, uśmiechają się do niego. Zna on tu wszystkich, a wszyscy jego znają. Pod jego przewodnictwem zwiedzamy kilka pracowni krawieckich i kilka szwalni. Znajdujemy siedzące szeregami cierpliwe i chude figury męskie, zapadnięte piersi kobiet, sterczące skutkiem suchot kości piętnastoletnich dziewcząt, wyglądających tak staro, jakby były już babkami. Istoty te nigdy w życiu nie jadły kawałka mięsa. Zaledwie możemy wytrzymać w tej atmosferze, w której mięszają się wyziewy ciał zaniedbanych z odorem popsutego jedzenia. Zapytujemy tych niewolników, ile zarabiają — i przekonujemy się, że cyfry podawane przez rewolucyonistów, są niestety aż nadto dokładne — i ból ściska nam serce. Za tuzin spodni dziecięcych, nad któremi ślęczą te profile nędzy, przedsiębiorca płaci 75 sous (t. j. niespełna 1 zł. 90 ct.). W najlepszym dniu, pracując od świtu do późnej nocy, nie straciwszy ani pół godziny może robotnik wykończyć takich spodni półtora tuzina.

Za tuzin koszul, nad któremi siedzą te stworzenia o zapadniętych piersiach, płaci przedsiębiorca 31 sous (t. j. niespełna 80 ct.) i robotnik musi dać swoje nici. A do tego nawet i te ceny nie są pewne. W ciągu ostatniego roku zniżono płace o połowę, któż może zatem wiedzieć, ile jutro płacić będą? Na razie pozwalają one przynajmniej żyć, ale jak żyć?... Najlepszą odpowiedzią na to pytanie są stojące na stołach talerze z jakiemiś ochłapami, którymi brzydziłby się się może nawet pies zgłodniały. Te usta jednak gryzą je z żarłocznością wprost przerażającą. Widzimy jak dwunastoletnia dziewczynka odkłada swą robotę, aby posilić się niemi. Jest ona tak blada, tak nędzna, że na płacz nam się zbierało, ale to bolesne wrażenie popsuł w jednej chwili agitator, wołając z patosem tonem deklamatorskim:

„A co, nie jest to hańba ludzkości?“

Cóż było mu na to odpowiedzieć? Chyba to, że w razie strejku, ta nędza ludzka nie miałaby nawet i tych kości do obgryzania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polowania z psami. („*Lemberger Hounds*“). Pod przewodnictwem kapitanów Kronholza i Madeyskiego oraz podporucznika księcia Windisch-Graetza odbywają się w okolicy Lwowa polowania z psami. Psy są własnością Towarzystwa myśliwskiego, składającego się z kilku oficerów artyleryi. Sezon polowań jest podzielony na wiosenny i jesienny. Gośćmi są, między innymi, jeneralny inspektor książe Windisch-Graetz, Namiestnik hr. Badeni, hr. Siemieński, komenderujący hr. Schulenburg, ks. Sanguszko, hr. Cetner, ks. Paweł Sapieha oraz wielu oficerów kawaleryi i artyleryi. Z pań bierze udział księżna Lubomirska, hrabianka Badeni, pułkownikowa Nachodska i Lahonsenowa. Polowania od miesiąca dwa razy na tydzień. Panie — szczególnie ks. Lubomirska — zadziwiają zręcznością i odwagą w braniu trudnych przeszkód. Psy, których jest 12 są rasy czysto angielskiej, pod dozorem angielskiego Whipa. Najbliższe polowanie odbędzie się w sobotę. Meet: o godz. 5ej koło karczmy w Hołosku Wielkiem.

W „Czytelni katolickiej“ przedmiotem wczorajszej pogadanki, którą zagaił profesor M. Thulie, była sprawa święcenia niedzieli. Dyskusya toczyła się głównie około od niedawna, bo od 1 maja obowiązującej ustawy o odpoczynku niedzielnym. Jakkolwiek świat katolicki widzi w tej ustawie znaczny krok naprzód na polu poprawy przez rząd stosunków socyalnych, których rozwiązanie znajdziemy w niedalekiej przyszłości w religii i w kościele katolickim, to jednak nie można tej ustawy uważać za ideał na polu ustawodawstwa socyalnego. Owszem ustawa powyższa jest tak elastyczną, że wykonanie jej i należyte przestrzeganie zależy tylko od dobrej woli władz krajowych, jako organu kontrolującego, czy obowiązani stosują się do jej przepisów. Ustawa ta, już jako owoc kodyfikacyi jest bardzo słabą i zostawia otwarte pole krytyce. Przyjmuje ona w paragrafie pierwszym zasadę, że w niedzielę ma ustać praca wszelka, z pewnymi tylko wyjątkami. Niestety tych wyjątków jest taka ilość, że wyjątki stają się regułą i nieposzanowanie święcenia niedzieli odbywa się i dalej w najlepsze. Na dowód, że twierdzenie niniejsze jest prawdziwem, wystarczyło zwrócić uwagę zeszłej niedzieli i poprzedniej, a więc już w czasie mocy obowiązującej ustawy i rozporządzenia wykonawczego, wydanego przez tutejsze namiestnictwo, na niektóre chrześcijańskie i żydowskie sklepy, które prowadziły handel en gros, a organa policyjne i magistrackie patrzyły ze spokojem, jak zwykle, na *ścisłe przestrzeganie ustawy i to w dwa tygodnie po jej wejściu w życie*. Zaprawdę. *Difficile satiram non scribere*, trudniej o więcej klasyczny przykład siły obowiązującej ustawy, ale na papierze.

A więc jest źle i tak dalej dziać się nie powinno. Społeczeństwo samo winno się obudzić wreszcie z tego letargu, z tego półsnu, w którym jest pogrążone na polu religii, stosunków moralnych i etycznych. Jeżeli już nie chce pamiętać, że przecież prócz ustawy obecnej, jest ustawa znacznie dawniejsza i świętsza, bo trzecie przykazanie boskie, to niech się zwróci do historyi, a zobaczy, że już od Konstantyna Wielkiego, poznały narody jak nieodzownem i dobroczynnem w skutkach jest święcenie niedzieli: „Chcecie mieć naród bez religii i obyczajów, a zatem bez przyszłości moralnej i ekonomicznej, znieście święcenie niedzieli“ — woła jeden ze znakomitych filozofów francuskich, a potwierdzenie prawdziwości jego słów znajdujemy w historyi narodów. Te narody, które z całym purytanizmem oddają się święceniu niedziel i swych świąt, jak Anglicy i Żydzi, te są najpotężniejsze ekonomicznie, i tu widzimy jaskrawy dowód, jak słabym jest ten argument, podniesiony przez niektórych przeciwników święcenia niedzieli, że szkoda straconych zysków, które odpadną w czasie wstrzymania się w niedzielę od pracy. Nie o to chodzi jak wielkim jest zysk, ale w jaki sposób go się zdobędzie, na co i jak się go użyje. Bez zasad moralności i etycznych, bez poszanowania cudzej pracy, bez zrozumienia, że robotnicy i podwładni nie są automatami, zebrane majątki i zyski, choćby najpotężniejsze, znikną bardzo prędko, i prędzej czy później musi nastąpić ruina duchowa i materyalna, a tem przykrzejsza, że towarzyszyć jej będzie pot i krew wyzyskanych robotników, — przekleństwo żon i dzieci, — którym zabrano mężów i ojców, i zrobiono z nich narzędzia robocze.

Prócz więc zaniechania pracy, należy jeszcze ten dzień świąteczny poświęcić kościołowi i rodzinie, należy go przeżyć po bożemu w całem tego słowa znaczeniu. Rozrywka uczciwa i szlachetna przepędzona w gronie najmilszych członków rodziny podnieść i uszlachetnić powinna ludzi pracy. I tu znowu słaba strona ustawy, że nie ma wzmianki w niej o szynkach, które tak rujnują zdrowie i zabierają nieraz najbiedniejszym ciężko zapracowany grosz. Jakkolwiek ustawa ta dotyczy tylko handlu i przemysłu, spodziewać się należy że rząd i inne instytucye, w możliwych granicach uwzględnią słuszne motywa i uwolnią od pracy w niedziele także swych urzędników. Wydział krajowy, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, Towarzystwo kredytowe ziemskie, świecą pod tym względem pierwsi przykładem, a nie wątpimy, że akcya dalsza w tym kierunku rozwijać się będzie pomyślnie. Nad powyższym tematem rozwinęła się dyskusya, w której kilku członków, a między innymi ks. prof. Skrochowski wybitny wzięli udział.

P. Józef Piątkowski prezydent sądu krajowego, otrzymał przy sposobności przejścia w stan spoczynku, krzyż komandorski orderu Fr. Józefa.

P. Alfred Deyma, dyrektor ruchu kolei państwowych, przyszedł już do zdrowia i 15 bm. objął urzędowanie.

Opera krakowska która się rozpocznie równo za miesiąc, zyskała jeszcze dwie siły a mianowicie tenora p. Wołoszkę z Warszawy i sopranistkę pannę Maryę Prylińską. Krakowska rada miejska udzieliła przedsiębiorcom, organizującym operę, 2000 złr. subwencyi.

Bogate zbiory Sefera Baszy zgromadzone na zamku Berchtoldstejn dostaną się stosownie do jego ostatniej woli, miastu Krakowowi. Jak wiadomo wśród tych zbiorów znajduje się jedna z najcenniejszych galeryi obrazów polskich, jakie istnieją. Po prawdziwe te skarby wysłała krakowska rada miejska profesora Łuszczkiewicza.

Pożary. W Krakowcu spaliła się szkoła i jedno gospodarstwo. W Gródku dnia 13 b. m. wybuchł groźny pożar, który jednakże zlokalizowano. Przy ratunku odznaczył się instruktor straży ogniowej p. Zwoliński, który z narażeniem życia trzykrotnie wbiegł do płonącego a walącego się już domu i wyratował z płomieni dwoje dzieci.

Zmarli. Dnia 15 bm. zmarł w Pomorzanach ks. Alojzy Mięsopust, proboszcz łaciński.

Stan powietrza. T. o 8 rano +11° R. w poł. +15° R. Bar. 750. Nieruchomy. Pogoda. Suchy wiatr wschodni.

W szkole.

N a u c z y c i e l. Powiedz mi parzystą liczbę, którąby się dzieliła przez 7, 13, 11 i 24?

U c z e ń (po chwili). Nie wiem, panie profesorze.

N a u c z y c i e l. No, to twoje szczęście, bo i ja także nie wiem...

W salonie.

A. Widziałeś pan, jak wszyscy wstali, kiedy wszedł do pokoju bankier Rosenblatt. Dziwna rzecz, jak każdy kłania się złotemu cielcu...

B. Pan mu pochlebiasz... On nie jest już tak młody!

Teatr. Dziś w piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę przedstawienie składane na dochód budowy domu słuchaczy politechniki lwowskiej.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Przedstawiona w tych dniach 3-aktowa farsa Valabregue'a p. t. „Szczęście małżeńskie“, była już u nas grana przed dziesięciu laty. Napisana w tonie przyzwoitym i spokojnym, rozłamuje w niektórych scenach ramy pustej krotochwili i zamienia się w komedyę, lekką wprawdzie, ale niemniej głębsze i zdrowe wypowiadającą poglądy o małżeństwie i płynących z niego obowiązkach. Sam pomysł nie tyle może oryginalny, ale tchnący prawdą życiową, przedstawia rodzinę mieszczańską, bogatą, poczciwą, w której są trzy córki, kobiety w gruncie uczciwe, ale przez rodziców trochę pobałamucone. Dwie z nich już mężatki, rozchodzą się z mężami z błahych powodów i ta separacya jest materyałem, z którego autor wykrzesał sytuacye i sceny tchnące humorem, dowcipem i werwą komiczną.

Główną rolę komiczną „papy“, eksfabrykanta, poczciwca, odegrał p. Feldman z właściwym mu humorem. Panie: Żelazowska i Kwiecińska były powabnemi grymaśnicami, a pp. Żelazowski i Hierowski dzielnymi małżonkami kapryśnych żon. Dopełniali całości p. Walewski, panie Gostyńska i Polkowska.

Wczoraj przedstawiony w dziewięciu odsłonach melodramat: „Roznosicielka chleba“, jest utworem dwóch francuskich autorów, pp. X. de Montepin i Darnay, i dźwiga już na swoich barkach kilka dziesiątków lat, jako elaborat sceniczny przerobiony z powieści pod innym tytułem napisanej jeszcze przed kilkudziesięciu laty. U nas we Lwowie, jeżeli był w ogóle grany, to chyba bardzo dawno, bo nawet w tradycyi nie pozostało z niego śladu.

Na treść „Roznosicielki chleba“, jak wszystkich melodramatów, składa się miłość i zbrodnia, a wśród ponurych sytuacyj, smutku, łez i rozpaczy, wplecione wesołe i uśmiechnięte epizody, rozjaśniają czarne tło przyczem stosownie do przyjętej w takich razach reguły, zbrodnia jest ukarana, a cnota i niewinność zwyciężają. W „Roznosicielce chleba“ fabuła polega na omyłce. Podpalacz, morderca i złodziej kryje się, a posądzają o to niewinną kobietę i skazują ją na dożywotnie więzienie, z którego po dziewiętnastu latach ucieka, aby szukać swoich dzieci: córki i syna, starając się również o dowody swojej niewinności. Jest tedy roznosicielką chleba po Paryżu, a z dzieci jej: córka jest szwaczką, syn dyrektorem fabryki u człowieka, który właśnie jest zabójcą jego ojca, a który zbiegł do Ameryki, tam skradł komuś familijne papiery, dorobił się majątku ogromnego i pod fałszywem nazwiskiem wrócił do Francyi. Na tem ponurem tle, romans i miłość tu i ówdzie migocą jaskrawymi promieniami i jednym przynoszą szczęście, drugim zgubę... Ale ostatecznie zwycięża moralność i każdy to, na co zasługuje, otrzymał.

Dla przedstawień popularnych „Roznosicielka chleba“ jest dobrym nabytkiem. Sztuka grana była dobrze i reżyserowana doskonale. W główniejszych rolach odznaczyli się pp. Chmieliński, Cichocka, Feldman, Walewski, Gasiński, Kliszewski, Kwiecińska, Folkowska, Kiczman i inni. *Iks Ypsylon.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń 15 maja!

(Z.) Giełda berlińska nadaje teraz tonu wszystkim europejskim targom pieniężnym, gdyż punkt ciężkości wielkiej pożyczki chińskiej ma być przeniesiony do Berlina. Nasza giełda jeszcze z innego powodu jest obecnie niewolniczo zależna od berlińskiej: oto najwięksi spekulanci tutejsi likwidują swe zobowiązania tutejszej giełdzie, a rozpoczynają operacye w Berlinie w walorach niemieckich. Ta zależność sprawiła, że pogłoska, iż hr. Kalnoky wniósł dziś ponownie prośbę o dymisyę, nie wywarła na kursa naszych papierów żadnego wpływu, gdyż Berlin przeszedł nad nią do porządku dziennego.

W rezultacie popadł nasz targ w taką ociężałość, że w niektórych walorach całemi godzinami ani jednej transakcyi nie zawarto. W Peszcie pogłoska o podaniu się Kalnoky'ego do dymisyi wywołała wielką radość, to też ten nieznaczny ruch, jaki był dziś w kredytach i kilku innych walorach, zawdzięczyć należy niemal wyłącznie zleceniom z Pesztu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 401·35, węgierskie 462·—, Anglobanki 173·—, Uniony 330·50, Bankvereiny 164·40, Länderbanki 282·40, Ludwiki 222·25, Czerniowieckie 325·50, Elbethale 293·75, Renta papierowa 101·45, srebrna 101·40, austryacka złota 123·60, 4% austr. renta wal. kor. 101·45, węgierska złota 122·55, 4% węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·73—, 20-frankówka 9·68, marki 11·93, ruble 1·31¼.

Wiedeń 15 maja. Spirytus 15·70—15·90.

Telegramy „Przeglądu“.

Dymisya Kalnoky'ego.

Wiedeń 17 maja. Wczoraj późnym wieczorem wydały dzienniki tutejsze osobne dodatki, w których doniosły, że h r. K a l n o k y p r z e d w c z o r a j p o n o w n i e w n i ó s ł p r o ś b ę o d y m i s y ę i ż e t y m r a z e m C e s a r z j ą p r z y j ą ł. Wiadomość ta wywołała tu wielkie wrażenie.

Extrablatt i *Fremdenblatt* donoszą, że tym razem inspirowane doniesienia dzienników peszteńskich o odwołaniu nuncyusza, które były ponownem wdarciem się w zakres działania ministra spraw zagranicznych, przyspieszyły decyzyę hr. Kalnoky'ego ustąpienia z zajmowanego przezeń posterunku.

„Każdy czuje to dobrze — piszą te dwa dzienniki — że Cesarz tak ważną decyzyę powziął po jak najdojrzalszem rozważeniu wszystkich okoliczności mających związek z pokojem i dobrem obu połów monarchii. Nikt w Austryi, ani w Europie, ani nawet w Węgrzech nie może zapomnieć o tem, jak wielkie zasługi położył hr. Kalnoky około pokoju europejskiego i mocarstwowego stanowiska państwa“.

J a k o n a s t ę p c ę h r. K a l n o k y'e g o w y m i e n i a j ą p o w s z e c h n i e h r. A g e n o r a G o ł u c h o w s k i e g o. Przybył on wczoraj tutaj, wezwany telegraficznie.

Wiedeń 17 maja. Dzienniki tutejsze donoszą zgodnie, że hr. Agenor Gołuchowski został już zamianowany ministrem spraw zagranicznych i że hr. Kalnoky sam zaproponował go Cesarzowi na swego następcę.

Zarazem donoszą, że hr Kalnoky otrzymał nadzwyczaj łaskawe pismo odręczne Cesarza z podziękowaniem i uznaniem za długoletnią tak obfitą w owoce pracę i że otrzymał także brylanty do wielkiego krzyża św. Szczepana

Wiedeń 17 maja. Pomimo ustąpienia hr. Kalnoky'ego, termin zwołania delegacyi oznaczony na 6 czerwca nie zostanie zmieniony.

Wczoraj po południu był hr. Kalnoky u Cesarza na długiej audyencyi.

Wiedeń 17 maja. Wszystkie pisma boleją nad ustąpieniem Kalnoky'ego i podnoszą jego zasługi.

Fremdenblatt pisze, że Węgrzy nie mają najmniejszego powodu do tryumfowania. Kalnoky ustąpił wprawdzie, ale źródło, z którego wynikło to ciężkie przesilenie, nie zostało zatkane, lecz każdej chwili może na nowo wybuchnąć.

Neue Fr. Presse pisze: „Szczęśliwym i radosnym wypadkiem jest to, z jaką pewnością i mądrością Korona i w tym wypadku znalazła stosowną drogę, ale to uczucie zadowolnienia zamąca boleść po stracie tak zasłużonego męża stanu.“

Presse pisze, że dymisya Kalnoky'ego jest ciężką ofiarą, należy tylko życzyć sobie, ażeby następca jego nie objął niezałatwionej zupełnie kwestyi, która była powodem tej dymisyi.

Vaterland pisze: Właśnie w tym konflikcie, który wywołał ustąpienie, spełnił hr Kalnoky w całej pełni swój obowiązek, gdyż energicznie sprzeciwił się wszelkiemu wdzieraniu się w sprawy zagraniczne, za które on tylko był odpowiedzialny.

Peszt 17 maja. *Pester Lloyd* oddaje hołd zasługom Kalnoky'ego i ubolewa, że potknął się o taki drobiazg i zapytuje: „Musste es sein?“ (Czy potrzeba było tego?)

Egyetertes, *Magyar Hirlap*, *Pesti Naplo* i *Budapesti Hirlap* cieszą się, jedne mniej, drugie więcej z dymisyi Kalnoky'ego.

Neues Politisches Volksblatt sądzi, że lepiej było poświęcić Kalnoky'ego, aniżeli całą ugodę.

Nemzet uznaje wprawdzie świetne przymioty i zasługi Kalnoky'ego, sądzi jednak, że te zalety zrównoważała wada jego, że chciał wywierać wpływ na wewnętrzne sprawy Węgier.

Neues Pester Journal pisze, że gdy trwał konflikt, to oczywiście każdy Węgier musiał stać po węgierskiej stronie, dziś jednak można już przyznać, że ustąpienie Kalnoky'ego jest wielkim i może brzemiennym w następstwa wypadkiem.

Hazank (nowy organ partyi katolickiej na Węgrzech) oświadcza, że Kalnoky z pewnością mniej żałuje swego kroku, aniżeli Austro-Węgry i cała Europa. Tę satysfakcyę ma przynajmniej Kalnoky, że nie potrzebował prowadzić polityki zagranicznej razem z teraźniejszym rządem węgierskim.

Peszt 17 maja. *Budapester Correspondenz* omawia ustąpienie Kalnoky'ego i oświadcza, że zwłaszcza z węgierskiego punktu widzenia szczerze ubolewać należy nad ustąpieniem tego męża stanu, który położył tak nadzwyczajne zasługi około pokoju europejskiego, około mocarstwowego stanowiska i handlowo-politycznych interesów Austro-Węgier. Wszelako tylko w tej formie można było rozwiązać obecne przesilenie, gdyż nie można było stwarzać precedensu przez to, że konflikt między ministrem spraw zagranicznych a węgierskim prezesem gabinetu przeniesiono na pole publicznej polemiki.

Na poniedziałkowem posiedzeniu sejmu odpowie Banffy na znaną interpelacyę Helfy'ego i Ugrona w sprawie tego konfliktu.

Wiedeń 17 maja. Banffy konferował dziś przed południem z hr. Gołuchowskim, którego nominacyę na ministra spraw zagranicznych zewsząd potwierdzają.

Koło polskie.

Wiedeń 17 maja. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zawiadomił prezes Zaleski, że rząd przyrzekł w jesieni wnieść ustawę w sprawie przymusowej asekuracyi od ognia.

W sprawie petycyi miasta Lwowa o ulgi podatkowe i należytościowe dla 10 milionowej pożyczki, oświadczył minister Jaworski, że sprawa ta znajduje się w odnośnych ministeryach. Petycyę Koła polskiego na Bukowinie w sprawie zakazu używania języka polskiego na zgromadzeniach przekazano pp. Chrzanowskiemu i Sokołowskiemu celem poczynienia odpowiednich kroków.

W debacie nad reformą podatkową żądał p. Wodzicki, ażeby *jura stolae* były wolne od osobisto-dochodowego podatku, a ks. Pastor domagał się takiego samego uwolnienia dla dochodu z gruntów parafialnych. Koło poleciło polskim członkom komisyi podatkowej starać się o przeprowadzenie tych wniosków. Wybrano w końcu deputacyę, która ma się ująć u ministra za aresztowanymi w Gracu emigrantami z Galicyi i zebrano dla nich znaczną kwotę.

Wiedeń 17 maja. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zwrócił p. Wodzicki uwagę Koła na ostatnie pismo dyrekcyi Tow. kredytowego w polemice, która się rozwinęła w dziennikach krajowych z powodu dyskusyi w Kole w sprawie opodatkowania listów zastawnych. Ponieważ dyrekcya w ostatniem swem piśmie złożyła całą ową mniemaną winę na referenta Dawida Abrahamowicza, sądzi p. Wodzicki, iż Koło powinno skonstatować, że przeważna większość nie podziela tego zapatrywania dyrekcyi, i że Koło uchwałę swą powzięło na podstawie głębokiej rozwagi, znajomości przedmiotu, a zgodnie z dążeniem do głównego celu reformy wyborczej. Koło zgodziło się na zapatrywania Wodzickiego i uchwaliło je umieścić w protokole Koła i przesłać jako komunikat do dzienników. *Sekretaryat Koła.*

Wiedeń 17 maja. Komisya budżetowa przyjęła wczoraj przedłożenie o pożyczce na budowę nowych kolei w Bośnii i rozpoczęła obrady nad rozdziałem „Zarząd kas państwowych“. Minister finansów Plener w toku debaty udzielił kilkakrotnie wyjaśnień i wykazywał, że państwo musi mieć wielkie zapasy kasowe już to ze względu na będącą w toku akcyę walutową już też dla tego, że są rozmaite nieprzewidziane wydatki, a budżet wspólnych wydatków często bywa przekraczany. Złota nabytego na regulacyę waluty rząd nie może dowolnie używać, gdyż w tym celu potrzebuje osobnej ustawy, mylnem wszakże jest przypuszczenie, że to złoto jest jakby uwięzione i żadnego pożytku nie przynosi.

P. Steinwender postawił wniosek w sprawie polepszenia płac urzędniczych, a mianowicie domagał się, ażeby dodatki subsystencyjne do pensyi otrzymali także urzędnicy VIII rangi, ażeby urzędnikom XI rangi podwyższono dodatki z 60 na 80 zł., aby stałe dodatki subsystencyjne otrzymali także nauczyciele szkół średnich, aby suplentom podwyższono płace o 100 zł. i aby auskultanci, mający egzamin sędziowski, otrzymali dodatki po 80 zł., zaś auskultanci bez tego egzaminu po 60 zł. Ta reorganizacya płac zwiększy wydatki rocznie o 692.000 zł. P. Piętak poparł ten wniosek i zgłosił poprawkę, ażeby dodatek dla urzędników VIII rangi wynosił 120 zł. rocznie, tudzież, ażeby dodatek 80 zł. otrzymali nietylko egzaminowani auskultanci, ale także egzaminowani praktykanci konceptowi.

Minister Plener oświadczył, że wnioskami tymi zaskoczono go, prosił więc, aby rozprawę nad nimi odroczono, gdyż na razie nie może jeszcze minister zająć wobec nich zdecydowanego stanowiska. Komisya przychyliła się do prośby ministra.

Minister spraw wewnętrznych na podstawie upoważnienia cesarskiego i w porozumieniu z ministrem finansów, handlu i sprawiedliwości, udzielił hr. Władysławowi Baworowskiemu, Mieczysławowi hr. Dunin Borkowskiemu, Adamowi hr. Gołuchowskiemu i Juliuszowi hr. Korytowskiemu pozwolenia na założenie towarzystwa akcyjnego po firmą „Ostgalizische Localbahnen“ („Wschodnio-galicyjskie koleje lokalne“) z siedzibą w Wiedniu.

Książę pruski Albrecht oddał wczoraj swe karty wizytowe w mieszkaniach ministrów węgierskich Banffy'ego i Josiki.

W apartamentach cesarskich odbył się wczoraj obiad galowy na cześć księcia pruskiego Albrechta. Zaproszeń rozesłano 102. Na obiedzie tym byli także ministrowie węgierscy Josika i Banffy. Cesarz wzniósł toast na cześć cesarza niemieckiego i króla pruskiego, na cześć księcia Albrechta i na cześć armii niemieckiej.

Praga 17 maja. Prezydyum czeskiej wystawy etnograficznej otrzymało za pośrednictwem kancelaryi gabinetowej podziękowanie Cesarza za wyrazy hołdu i lojalności złożone Mu podczas otwarcia tej wystawy.

Lubiana 17 maja. Lekkie wstrząśnienia ziemi powtarzają się bez ustanku. Co nocy konstatują dwa lub trzy takie wstrząśnienia, wszelako ludność już się tem nie niepokoi. Przedwczoraj rano dął silny wiatr południowy Sirocco, w nocy zaś zerwał się wicher północy i naniósł burzę z ulewą, wczoraj zaś od 10 rano padał śnieg. Z największym pośpiechem rozmieszczają więc po barakach mieszkańców domów grożących zawaleniem się.

Rzym 17 maja. Minister finansów Sonnino miał wczoraj mowę na bankiecie, urządzonym przez swych wyborców. W mowie swej wskazał Sonnino na to, że w chwili, gdy Crispi obejmował ster rządów sytuacya finansowa państwa była fatalna. Rząd czynił wszelkie możliwe wysiłki, ażeby doprowadzić do równowagi finansowej bez zaciągnięcia nowych długów i rzeczywiście prawie już mu się to powiodło. Należy tylko jeszcze trochę kroczyć na tej drodze, a finanse państwa będą zupełnie uporządkowane. Potrzeba tylko zgodzić się na propozycye rządu. W przyszłorocznym budżecie wydatki na wojsko i marynarkę będą znów o 9 milionów zmniejszone. W końcu z oburzeniem odparł Sonnino zarzut, jakoby rząd bezprawnie wypuszczał noty państwowe. Mowę swą zakończył toastem na cześć króla.

Berno (szwajcarskie) 17 maja. W wielu okolicach Szwajcaryi spadły takie śniegi, że skutkiem tego jest komunikacya kolejowa przerwana.

Praga 17 maja. Wczoraj jako w uroczystość patrona kraju św. Jana Nepomucena urządzono wieczorem festyn i spalono na nim ognie sztuczne. Po festynie kilkutysięczny tłum śpiewając czeską pieśń agitacyjną przeciągał ulicami przed gmach czeskiego teatru, wznosił okrzyki „Slawa“, a przed dyrekcyą policyi „Pereat“. Rozpędzony przez policyę, zebrał się tłum ponownie przed gmachem niemieckiego kasyna, gdzie wyprawiał ogromne wrzaski, krzycząc „Pereat“. Znów rozpędzony przez policyę, zebrał się tłum po raz trzeci przed dworcem kolei państwowych i kamieniami powybijał szyby. Aresztowano jednego agitatora.

Wiedeń 17 maja. Na wczorajszem posiedzeniu rady miejskiej przewodniczył wiceburmistrz dr. Lueger i w gorących słowach sławił pracowitość i zasługi ustępującego burmistrza dr. Grübla. Lueger stara się doprowadzić do porozumienia między antysemitami a liberałami, dotychczas jednak bezskutecznie.

Capo d'Istria 17 maja. Posłami do sejmu istryańskiego wybrano dziekana Compare i dr. Trinaistica. Obaj należą do stronnictwa kroackiego.

Wiedeń 17 maja. Cesarz przyjmował wczoraj o godzinie 1 w południe ministrów Banffy'ego i Josikę. Banffy wraca dziś wieczorem do Pesztu.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 16 maja. M. Łastawiecka z Lipnika. Exc. A. Nemethy-Nemetfalva z Wiednia. J. Wiktor z Czudca. J. hr. Młodecki z Monasterzysk. A. Cielecki z Porchowy. K. Heinrich z Kołomyi. G. Platz z Borysławia. R. Kollisch z Berna. R. Pfister z Lindau.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 17 maja (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·— do 224·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 327.— do 331·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 442.— do 452.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·80 101·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 101·30 do 102.—, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 98 — do 98·70.

Wiedeń 16 maja. Notowania wieczorne. Kredyty 400·—, węgierskie kredyty 461·—, anglobank 173·25, bankverein 163·50, unionbank 331.50, länderbank 281·91, staatsbahny 430.25, lombardy 103.50, elbethale 292.50, akcye tytoniowe 239.50, rima 275.75, alpiny 86·20, renta majowa 101.47, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 81.50, węg. renta koronowa 99·15, marki 59.65, ruble 133.07.

Wiedeń 17 maja (godz. 11 w połudn.) Kredyty 400.75, kred. węg. —.—, Anglobanki 173.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 282.—, Akcye tyton. 239.—, Staatsbahny 430.—, Lomb. (z kup.) 103.15, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—. Marki 59·60, Losy tureckie —·—

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 maja 1895 (czas środk.-europejski).

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi pospieszne			Pociągi osobowe			
Z Berlina	1·22	5·10	—	7·00	9·06	9.00	
Z Krakowa (Wrocławia i Wiednia)	1·22	8·40	5·10	7·00	9·06	9·00	
Z Warszawy	5·10	—			9·06	9·00	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów od 1 czerwca do 30 września	—	—				9·00	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów lub Rzeszów (od 25 czerwca do 15 września)	5·10	—					
Z Muszyny-Krynicy i Mszany d. przez Tarnów	—	—			9·06		
Z Chabówki przez Tarnów lub Rzeszów	5·10	1·22					
Z Rozwadowa i Nadbrzezia	—	—		7·00			
Z Rawy przez Jarosław	—	1·22			9·06		
Z Mezö-Laborcz, Pesztu, Miskolcza przez Przemyśl	—	—				9·00	
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1·22				—	
Z N. Zagórza p. Przem.	—	1·22				9·00	
Z Chyrowa p. Przemyśl	—	1·22		7·00		9·00	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			12·05	8·10	—	
Z Hrebenowa, od 10go czerwca do 31 sierpnia				—	—	1·42	
Ze Skolego i Stryja	—			12·05	8·10	1·42	9·16
Z Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—			12·05	8·10	1·42	
Z Suczawy, Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhomethu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukar. i Jass	9·50			—			
Z Suczawy, Czortkowa, Woron., Kałusza, Słob. rung., Bukaresztu i Jass	—			1.32			
Z Suczawy, Radowiec i Czudyna (każdego poniedziałku), Sopowa	—			6·17			
Z Suczawy, Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec, Kimpolungu, Jass i Bukaresztu	—			7·37			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8·00	4·40		
Z Bełzca	—			—	4·40		
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	2·09	9·44		8·02	4·33		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	2·25	10·—		8·25	5·00		
Z Brzuchowic od 12 maja do 10 września						8·25	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8·40	2·50	11·00	4·55	10·25	6·45	
Warszawy			11·00	4·55		6·45	
Muszyny-Krynicy przez Tarnów tylko od 1-go czerwca do 30 września						6·45	
Musz.-Kr. przez Tarnów	8.40		11·00	4·55			
Chabówki przez Tarnów			11·00				
Musz.-Kr. przez Rzeszów			11·00				
Chabówki przez Rzeszów			11·00		10·25		
Rozwadowa i Nadbrzezia	8·40	—	11·00	4·55			
Rawy r. przez Jarosław		2·50	—	4.55			
Mezö-Laborcz (Pesztu, Misk.) przez Przemyśl				4·55	6·45		
N. Zagórza przez Przem.				4·55	10·25	6·45	
Chabówki prz. Przemyśl				—	10·25		
Chyrowa przez Przemyśl		2·5		4·55	10·25	6·45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu				5·25	7·38		
Hrebenowa tylko od 10 czerwca do 31 sierpnia				—	9·33		
Skolego i Stryja				5·25	9·33	3·00	7·38
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj				—	9·33	7·38	
Chyrowa przez Stryj				5·25			
Suczawy, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolunga	6·15						
Suczawy, Slobody rung., Czudyna i Berhomethu co poniedz.; Radowiec					10·35		
Suczawy, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza, Woronienki, Kimpol.					2·40		
Suczawy, Jass, Bukar. Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec					10·30		
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską				9·15	7·10		
Bełzca				9·15	—		
Podw. i Brodów z Podz.		2·10	6·00		10·14	10·44	
Podw. i Brodów z gł. dw.		1·56	5·46		9.50	10·20	
Brzuchowic od 12/5—10 września w dni powsz.						3·20	
Brzuchowic od 12/5—10/9 w niedziele i święta						2·26	
Zimn. wody od 12/4—10/9						3·45	

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czas środkowo europejski = godz. 12·36 podług zegara lwowskiego.

5

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

Głos p. Harwell był zaledwie dosłyszalnym.

— Gdzieżeś pan był w chwili, gdyś to spostrzegł?

— Już dobrze nie pamiętam, zapewne przy drzwiach mojego pokoju, ponieważ nie zatrzymywałem się po drodze. Gdyby nie ten okropny wypadek, nie zastanowiłoby mnie to nawet.

— Czy wchodząc do swego pokoju, zamknąłeś pan drzwi?

— Tak, panie.

— Kiedyś pan się do łóżka położył?

— Natychmiast.

— Czyś nic nie słyszał, przed zaśnięciem?

Znowu to samo, niepojęte, wahanie.

— Prawie nic.

— Żadnego szmeru na schodach?

— Może i był jaki szmer.

— Tak czy nie? Odpowiadaj pan, czyś co słyszał?

— Nie mógłbym odpowiedzieć twierdząco.

— Lecz zdaje się panu, że tak było?

— Zdaje mi się, istotnie. Prawdę powiedziawszy, usypiając już, słyszałem na schodach jakiś szelest, lecz nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Usnąłem.

— A potem?

— Po pewnym czasie obudziłem się... obudziłem się nagle, jak gdyby mną coś wstrząsnęło. Ale co? Huk czy też gwałtowne poruszenie? nie potrafiłbym tego określić. Pamiętam tylko, żem usiadł na łóżku i rozejrzał się wokoło; lecz nic nie słysząc, usnąłem znowu. Obudziłem się dopiero nad ranem.

Na pytanie sędziego, w jaki sposób dowiedział się o zbrodni, p. Harwell powtórzył szczegóły, podane już przez kamerdynera. Następnie, sędzia spytał go, czy nie pamięta, jakie przedmioty leżały na stole po przeniesieniu zwłok do pokoju sypialnego.

— Pamiętam mniej więcej — odparł sekretarz.

— Cóż tam było?

— Zwykłe przedmioty: papiery, książki, pióro z zaschniętym atramentem, butelka wina i kieliszek, z którego p. Leavenworth pił dnia poprzedniego.

— I nic więcej?

— Nic więcej przypomnieć sobie nie mogę.

— Mówiłeś pan, że znaleziono butelkę i kieliszek na tem samem miejscu, na którem stały wczoraj, gdyś pan wychodził z biblioteki — spytał jeden z sędziów przysięgłych.

— Tak, panie, na tem samem miejscu.

— Zazwyczaj jednak p. Leavenworth pijał cały kieliszek?

— Tak, panie.

— A więc wkrótce po pańskiem wyjściu musiało mu coś w tem przeszkodzić?

Trupia bladość pokryła twarz p. Harwell. Drgnął, błysła mu widocznie myśl straszna.

— Nie znajduję, aby tak miało być koniecznie — rzekł z widocznym wysiłkiem — p. Leavenworth mógł...

Urwał nagle, jak gdyby nie miał siły dokończyć.

— Przyjdź pan do siebie, panie Harwell i wypowiedz nam myśl swoją...

— To nic ważnego — odparł cicho, był widocznie pod wpływem gwałtownego wzburzenia.

Sędzia śledczy nie nalegając, pytał dalej:

— Czy klucz biblioteki tkwił we drzwiach wczoraj, gdyś pan pokój opuszczał?

— Nie zwróciłem na to uwagi.

— Przypuszczają, że w nich był.

— I ja tak sądzę.

— A jednak, dziś rano drzwi były zamknięte a klucz zniknął?

— Istotnie.

— A zatem ten, kto spełnił zbrodnię, wychodząc, drzwi zamknął i klucz wziął ze sobą.

— Zapewne.

Sędzia śledczy zwrócił się do przysięgłych, i spojrzał na nich bacznie.

— Panowie — rzekł — z tym kluczem jest jakaś tajemnica, którą zbadać musimy.

Po sali przebiegł szmer przytwierdzenia. Mały jegomość powstał i zaproponował, aby przystąpiono natychmiast do poszukiwań, lecz sędzia śledczy rzucił mu ostre spojrzenie i oświadczył, że śledztwo będzie prowadzone do końca zwykłym trybem i że wszyscy świadkowie zostaną przesłuchani.

— W takim razie pozwól mi pan zadać jedno pytanie — rzekł uparty jegomość. — Panie Harwell, mówiono nam, że gdyście wyważyli drzwi od biblioteki, obie synowice p. Leavenworth weszły do pokoju za panami.

— Jedna z nich tylko, miss Eleonora.

— Miss Eleonora jest tą właśnie, która miała być spadkobierczynią p. Leavenworth? — spytał sędzia śledczy.

— Nie, panie, dziedziczyć miała miss Mary.

— Lecz miss Eleonora kazała przenieść zwłoki do sypialnego pokoju — wtrącił sędzia przysięgły.

— Tak, panie.

— I pan pomagałeś do ich przeniesienia?

— Tak, panie.

— Czy, przechodząc z jednego pokoju do drugiego, nie zauważyłeś pan nic takiego, poczem by można wyśledzić mordercę?

Sekretarz wstrząsnął głową.

— Nikogo nie podejrzywam — oświadczył z naciskiem.

Czy to, że głos jego drżał; czy to, że ręka ścisnęła się kurczowo — a ręka wyraża niekiedy więcej niżeli twarz — sam nie wiem, dość, że czułem, iż temu człowiekowi wierzyć nie należy.

— Chciałbym zadać panu jedno pytanie — odezwał się jeden z przysięgłych. — Wysłuchaliśmy szczegółowego opisu odnalezienia zwłok ofiary. Otóż nie ma zbrodni bez pobudek. Pan sekretarz mógłby nas może objaśnić, czy p. Leavenworth miał nieprzyjaciół?

— Nic o tem nie wiem.

— Czy wszyscy w domu pozostawali z nim na dobrej stopie?

— Tak, panie — odparł Harwell z lekkiem drżeniem w głosie, zadającem jakby kłam temu twierdzeniu.

— Czy pomiędzy członkami jego rodziny nie było jakiego nieporozumienia?

— Nic o tem powiedzieć nie mogę. Był może jakiś cień niezgody.

— Pomiędzy kim?

Długa chwila pasowania się wewnętrznego.

— Pomiędzy nim a jedną z jego synowic.

— Którą?

I znowu sekreatrz podniósł głowę, jak gdyby kogo wyzywał.

— Miss Eleonorą — rzekł wreszcie.

— Kiedy się to zaczęło objawiać?

— Nie potrafiłbym tego określić.

— Nie znasz pan powodu tego nieporozumienia?

— Nie.

— Ani jego doniosłości?

— Nie, panie.

— Otwierałeś pan listy p. Leavenworth?

— Tak.

— Czy w ostatnich jego korespondencyach nie było nic takiego, coby mogło rzucić światło na tę zbrodnię?

Pan Harwell milczał. Czy namyślał się nad odpowiedzią, czyli też wcale odpowiadać nie chciał?

— Panie Harwell, słyszałeś pan zapytanie pana przysięgłego? — wtrącił wreszcie sędzia śledczy.

— Tak, panie, zastanawiałem się właśnie.

— Dobrze, a teraz pan odpowiedz.

— Łaskawy panie — rzekł, zwracając się wprost do przysięgłego, co mi pozwoliło widzieć wciąż jego lewą rękę — łaskawy panie, otwierałem, jak zwykle, listy p. Leavenworth w ciągu ostatnich czasów i nie znalazłem w nich żadnej zapowiedzi zbliżającej się tragedyi.

Człowiek ten kłamał, widziałem to z jego ręki skurczonej konwulsyjnie.

— Panie Harwell, musisz pan mieć zapewne racyę, wedle własnego zapatrywania, lecz my musimy to stwierdzić i w tym celu przejrzymy korespondencyę p. Leavenworth.

— To zupełnie słuszne, macie panowie prawo.

Na tem zakończyło się przesłuchanie p. Harwell.

Zrobiłem trzy następujące uwagi:

1) Sekretarz miał jakieś podejrzenie, które chciał z myśli odegnać.

2) Podejrzenie to tyczyło się kobiety: słyszał bowiem szelest sukni i odgłos cichych kroków na schodach.

3) P. Leavenworth musiał otrzymać list jakiś, który, w razie gdyby go odnaleziono, rzuciłby światło na tę sprawę.

4) Nazwisko Eleonory Leavenworth wychodziło z ust jego z trudnością; młodzieniec, chłodny wogóle, okazywał pewne wzruszenie ilekroć zmuszony był je wymawiać.

IV.

Z kolei przesłuchano kucharkę.

Była to kobieta otyła, z twarzą czerwoną. Wystąpiła naprzód z taką skwapliwością a zarazem i niepokojem, że zebrani uśmiechnęli się mimowoli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W Hodak.